

# Król w Nieświeżu

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

# KRÓL W NIEŚWIEŻU

1784.

## Obrazek z przeszłości

przez

J. I. Kraszewskiego.

Warszawa.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1887.

Dozwolono do druku Warszawa, 7 Maj 1887 roku.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarz. J. Gadowskiego.

Wieczorem gorącego dnia lipcowego, na nieświeskim zamku, w gabinecie, do sypialni jego książęcej mości przylegającym, którego okna grubemi i ciężkiemi firankami pozasłaniane były, w wygodnem krześle, nogami oparty na stołeczku, siedział, wzdychając i pot z czoła ocierając, książę wojewoda wileński, Radziwiłł Panie - kochanku.

Twarz jego zmęczona wyrażała znużenie wielkie i zakłopotanie; strój letni, wygodny, domowy oznaczał, że już dnia tego nie spodziewał się gości. Obok, na małym stoliczku, okrytym kobiercem lekkim, wielka szklanica kalteszalu, z której popijał wzdychając, do połowy już była opróżnioną. U nóg księcia, pod stołem, wygodnie rozciągnięta, sapiąc i przez sen się od much opędzając konwulsyjnymi ruchami, spoczywała ulubiona wyźlica Nepta, na którą książę wojewoda niekiedy z troskliwością spoglądał. Przed księciem, w pewnem oddaleniu, stał, w mundurze polskiego

autoramentu, wcale przystojny, rycerskiej postawy, niezbyt już młody, ale czerstwo i rumiano wyglądający mężczyzna. Pięknym go nazwać nie było można, gdyż twarz rysów dosyć pospolitych, niewielkiego wyrazu, niczem się nie odznaczała szczególnie, ale energia na niej, pewność siebie, żołnierska buta, stały dobitnie wypisane. Był to szwagier księcia, generał Morawski. Spoglądał niekiedy na wojewodę, przechadzał się po gabinecie, jakby go towarzystwo milczącego pana nużyło, odchrząkiwał, przypominając mu się, stawał i zwracał napróżno ku niemu wyzywające wejrzenie.

Książę z wielką flegmą popijał kalteszał, ocierał pot, okrywający mu czoło, wzdychał, a na towarzysza nie patrzył. Częściej daleko znużone jego oczy obracały się na leżącą pod stołem wyzlicę, otyłe i spaste stworzenie, któremu gorąco kanikuły, również jak panu jego, dokuczać musiało. Nagle książę wojewoda zcicha, jakby sam do siebie, pomrukiwać zaczął; ciężkie powieki podniósł, spoglądając na wojskowego, i odezwał się głosem przytłumionym, napół ochrypłym.

— Gadaj, co chcesz, babski to wymysł, panie kochanku. Ni przypiął, ni przyłatał. Klóci- liśmy się i ujadali; potem pokój zawarłem, dobrze go przepłaciwszy; a wy mi każecie wkońcu kochać się i ślinić, całując! Po kiego licha?

Przechadzający się po gabinecie generał zatrzymał się.

— Ale bo, mości książę, — odparł kwaśno — książę podkomorzy Hieronim, pan kasztelan trocki, pan krajczy są przecież wszyscy w tem zgodni, że zbliżającego się ku Nieświeżowi króla wypadałoby zaprosić i przyjąć honeste. Nakazuje to polityka i interes domu radziwiłłowskiego; gdy raz nastąpiła pacyfikacya, uraz wzajemnych przebaczenie, zgoda, pokój między panami chrześcijańskimi, aby to przypieczętować w oczach świata recepcyą, godną imienia książąt. Przyczem okaże się i przypomni możność i potęga domu, urosną Radziwiłłowie.

— Pchi! Pchi! Asindziej, panie kochanku, sądzisz, widzę, że ludzie o nas już tak zapomnieli, iż my się im przypominać potrzebujemy? Ale, proszę cię, ja na to mam sposób inny i tańszy. Każę w skórę dać szlachcicowi... i zapłace...

Jenerał rozśmiał się.

— Szlachcica tylko trzeba wybrać lepszego gatunku, karmazyna! — dodał wojewoda.

— Co bo książę żartujesz! — odparł Morawski. — Jako żywo, panie kochanku — prędko podchwycił książę. — Szlachcica skóra może mnie kosztować, dajmy na to, najdrożej tysiąc czerwonych. A króla przyjmując? He! He! Psim śwędem się nie obejdę! Jeżeli gościć go, to poradziwiłłowski! Pęknie nie jedna złota beczułka! A co wina!...

— A cóż to dla księcia wojewody znaczy? Albo Radziwiłła nie stać na to? — wtrącił Morawski.

Wojewoda umoczył usta w kalteszalu, otarł je rękawem i westchnął ciężko.

— Stało nie stało — rzekł — hm, ale poco my się znowu z nim tak bardzo kochać mamy? Ja temu ekonomczukowi solą w oku, a on mnie też nie konfiturą... Zdaleka się. trzymać na polityce — i dosyć.

Zamilkł na chwilę, a zpod stołu, jakby udział chcąc wziąć w rozmowie westchnieniem i

mruczeniem, odezwała się też Nepta. Książę troskliwie się ku niej pochylił.

— Wiesz — rzekł książę — jakie mam zmartwienie? Nepta znowu w stanie błogosławionym, a tu takie skwary!

Jenerał ramionami poruszył, wiedząc, że książę, gdy o czym mówić nie chciał, do wyżlicy się zwracał. — A co najgorzej, — ciągnął dalej wojewoda — nie wiem nawet, jakiego się mam spodziewać potomstwa. Gotowa mi kundysów naprowadzić, które topić będę musiał, aby jej wstydu nie robiły. Psiarczyki - pokojowcy, choć mieli najsurowiej zalecone jak oka w głowie jej pilnować, aby się w żadne romanse nie wdawała, dopuścili skandalu. Jestem o jej zdrowie niespokojny, a z felczerów żaden nawet się zająć nią nie chce. Mirecki, Wieczorkowski doktorów udają i, że koło ludzi chodzą, na nią spojrzeć nie raczą. Sprowadzę chyba umyślnie konsyliarza psiego z zagranicy... bo tam są i do świń doktorowie... słowo ci daję, panie kochanku!

— Ale, cóż u licha! Nepcie się nic nic stanie — przerwał niecierpliwie jenerał.

— Z babek żadna do niej też się nic pofatyguje — dokończył książę frasobliwie. — Nie zapominaj, że ona jest ostatnią ze swego rodu i takich wyżłów na świecie już niema. Asindziej wiesz, że ja ją przywiozłem z Madagaskaru, a królewska psiarnia goniła za mną aż do Portugalii... bom ją wykradł.

Uśmiechnął się jenerał i począł przechadzać.

— A co mnie ta sztuka kosztowała! — dokończył wojewoda, ręką ponad głową wywijając. — Oddech ma strasznie ciężki! — rzekł posłuchawszy.

Nastąpiło milczenie. Wojewoda się zadumał głęboko i, bez przejścia żadnego, rozpoczął na nowo.

— Wiec wy postanowiliście, że króla-ekonomczuka w Nieświeżu przyjmować potrzeba. I myślicie, że to łatwa rzecz. Szast, prast, jajeczniczy usmażyć, gąsiorek wina przynieść i po wszystkim! Ale... ale!.. Świat i Korona polska przecież na trąby radziwiłłowskie zwrócone oczy mają... gazety roztrąbią, policzą, ile my kurcząt upieczemy i piwa wytoczym. Ja pokpić sprawy nic mogę; musi być, panie kochanku, *grandioso*! Ho! Ho! Ho! Ho!

I wojewoda dokończył mruczeniem, na które Nepta głuchem warczeniem przez sen odpowiedziała.

— I wiesz asińdziej, co najgorsza? — zniżając głos, dodał wojewoda. — Nie mogę za to ręczyć, abym mu jakiej finfy pod nos nie puścił. Będzie mnie korciło i świerzbiało zrobić mu figła. Za moich też dworzan nie ręczę, bo tak go kochają, jak ja... nie strzymają... zmalować coś muszą... okazyjka doskonała, he! He!

— Mości książę, a prawa gościnności? — przerwał jenerał. Książę się uśmiechnął.

— Ale ba... prawa gościnności! — zamruczał. — A byłoby ci smaczno, gdybyś musiał Możejke, co ci buty czyścił, w rękę całować?

Oba ramionami ruszali. Wtem Nepta pod stołem gwałtownie się rzuciła, a książę pochylił się ku niej żywo.

— Patrzajże, jaka ona niespokojna! — zawołał. — Trzebaby na to coś radzić. Jak myślisz, gdyby jej dać *Cornucervi*?

— Ale cóż bo u licha! — przerwał generał z niecierpliwością — puścić ją na podwórze, niech sobie trawy poszuka i zje, a będzie zdrową. Cała jej choroba, że ją okarmiają do zbytku.

Książę głową potrząsał, ciągle się przypatrując Nepsie, która na drugi bok się wyciągnawszy, usypiała spokojnie. Czas jakiś upłynął w milczeniu.

— To prawda, — począł znowu wojewoda napiwszy się — że nie mieliśmy oddawna okazji przewietrzyć tych rupieci, co się w skarbcu chowają; a tak, toby przynajmniej z molów wytrzepano szpalery i z pyłu otarto sprzęty... ale drogo będzie kosztować ten popis! Z dwojga złego wolałbym już którego z Massalskich przyjmować, panie kochanku... choć i to — ni z pierza, ni z mięsa... Jużci nas stać na przyjęcie, a gdyby brakło, to mi Horbaczewski obiecał piętnaście złotych na zastaw pożyczyć...

Morawski nie smakując w tych żartach, zżymał się.

— Wasza książęca mość — rzekł — jesteś głową domu.

— Bywa różnie — zamruczał wojewoda — czasem jestem głową, czasem kieszenią domu, niekiedy ręką, a nawet trafiło się już być i nogami... ale — co mi tam! Byle Nepta była zdrowa! Furda wszystko! Horbaczewski pożyczy... a wy postawicie na swoim, ja już to widzę. Jak wam się czego zachce, biedny pan wojewoda musi słuchać... Głowę mu klekczą, klekczą — dla świętego spokoju... stary kontusz połata, i da grosz ostatni. Co ma robić biedaczysko.

I głową poruszywszy kilka razy, dodał:

— Wszystko to są babskie intrygi... Twojej żonie zachciało się pokazać królowi Zausze, więc ja go muszę sprowadzić do Nieświeża dla niej, aby ona mu się kwiatkami chwaliła.

Jenerał ramionami rzucał.

— Inne baby, którym się chce bransoletek i naszyjników, — mówił dalej książę — wtórują jej. Wszystkie się w nim kochają, a to furfant, który gładkimi słowami zbywa Boga i ludzi. Powtórzyło się wzdychanie, ocieranie z potu czoła, popijanie kalteszalu i spoglądanie na Neptę. Rozmowa przerzuciła się na ulubioną wyzlicę.

— Nie mogę nawet dojść, — począł wojewoda — kiedy przypadnie rozwiązanie, byłbym spokojniejszym, tymczasem każecie mi się zajmować przyjęciem tego ekonomczuka i oddawaniem mu królewskich honorów.

— Bo mu się one należą, — zawołał generał zniecierpliwiony — namaszczonym jest przecie!

— A asindziej wiesz jaką oliwą? — wtrącił żywo książę. — Mnie nieboszczyk Podbipięta zaręczał, że wprost wzięli tej, której do sałaty używają. Zkąd on o tem wiedział, nie pytałem, ale nigdy nie kłamał.

Morawski odwrócił się prawie gniewny, a książę pomilczawszy, mówił dalej.

— Suponuję tedy, że go tu sprowadzimy! Czemże bawić w Nieświeżu? Dziewczęta mu balet zatańcują... ale cały dzień na nogi ich patrzeć nie będzie. Jenerałowa pokaże mu malowanie Estki, co potem, kiedy on ma Włocha swego, który jeszcze jaskrawiej smaruje... Złotą chorągiew musztrować przed nim? Nie pozna się na tem! Na konia go wsadzić, to się za grzywę uchwyci. Niedźwiedzia mu wypuścić, może być przypadek, bo żołądek ma, słyszę, niestateczny. Flota moja w Albie, znakomita rzecz, ale się na niej nie pozna, bo marynarką, jak ja, się nie zajmował. Naostatek, co taki człowiek wart, z którym się nawet upić nie można. Nie pije nic, oprócz wody, w której się kocha jak gęsi, u mnie zaś w Nieświeżu dobrej niema. Upić się boi, aby się nie wygadał... to dosyć powiedzieć... gdyby szczerym był, kieliszkaby się nie lękał. Cóż ja z nim robić będę? He? Zniżył głos książę.

— Do skarbcza go wpuścić z akolitami? Ta to wszystko hołysze...

— Ależ, mości książę! — przerwał oburzony jenerał.

— Jakże? Nie goły? — przerwał wojewoda. — He? Pożycz u Holendrów, pożycz u Teppera, pożycz u ambasadora, a jeszcze nie słyszał, aby komu co oddał. Wpuścić go do skarbcza, to tylko oskomy dostanie.

— Książę się przecie skarżyłeś tylko co, że takie grosza nie masz! — rzekł Morawski.

— Bo nie mam: — zawołał książę — skarbiec jest radziwiłłowski, a ja stróżem nad nim. Przecież tych złotych cegiełek z niego nie mogę wziąć, a dyamentów nie zastawię, a dzierżawcy nie płacą i z dóbr mi tylko suszone grzyby i laskowe orzechy przynoszą. Orzechy mu dać gryźć! Zęby sobie połamie i powiedzą, że to zdrada!

— Książę wszystko obracasz w żarty, — wybuchnął Morawski — rozmówić się na prawdę nie można.

— Myślisz, że to żarty są, co ja mówię — zawołał wojewoda. — Weź ty na rozum i na fis jak chcesz, a wyjdzie toż samo, co u mnie w żartach. Ni wprzód, ni w zad. Wystąpić po radziwiłłowski, powiedzą, że mu chcę imponować; przyjąć go skromnie, krzykną, że skąpy... a naostatek, ani za siebie, ani za ludzi nie ręczę, żeby figla mu jakiego nie splełali i finfy pod nos nie puścili. Bryźnie kto nieostrożnem słowem — weźmie je do siebie... na złodzieju czapka gore. Z tej wielkiej przyjaźni gotowa animozya wyrosnąć.

Wojewoda mówił jeszcze ożywiając się, gdy z sąsiedniej salki weszła powoli, słusznego wzrostu, dosyć otyła, niezbyt już młoda, nie piękna wcale, z twarzą męskiego wyrazu i czerniejącym zarostem nad wierzchnią wargą, jejmość w białej sukni, bez czepka, z tabakierką złotą w ręku.

Była to siostra księcia, pani jenerałowa Morawska, żona rozmawiającego właśnie z nim pi- sarza

litewskiego. Usłyszawszy ją nadchodzącą, wojewoda podniósł ciężkie powieki.

— Otóż jest! — rzekł — teraz ona z kolei przychodzi mnie nudzić tem przyjęciem króla jegomości. Konieczniebyście go chcieli widzieć w Nieświeżu?

— My jego, nic, — odparła grubym głosem pani Morawska — ale chcemy, ażeby on widział Nieśwież, a przekonał się, co Radziwiłłowie na Litwie znaczą.

— I za to my go będziemy musieli po rękach całować! — wtrącił książę... i splunął...

Westchnienie głośniejsze Nepty przerwało zaledwie poczynającą się rozmowę. Wojewoda położył palec na ustach...

— Słyszysz asindzka, jak ona dyszy ciężko? — szepnął, do siostry się obracając...

— Co za dziw! — pogardliwie odparła Morawska — widzisz, co na niej sadła!

Książę zmarszczył się, usłyszawszy to pogardliwe wyrażenie, i zapominając o przybyłej, wzrokiem niespokojnym śledził wszystkie ruchy Nepty, która Wistocie sen miała ciężki.

Po krótkim przestanku, jenerałowa tabakę zażywając, poczęła głosem stłumionym:

— Zgadłeś, panie bracie, zem ja tu przysła też nastawać na przyjęcie króla w Nieświeżu. Dla honoru domu trzeba wystąpić, nic nie pomoże. Stało na to Jabłonowską, stało Ogińskich, a nasby miało nie stać?

— Ale, ale — zawołał wojewoda — choćbym się miał u Horbaczewskiego, albo u Tołoczki zapożyczyć, stałoby i księcia wojewodę na to, ale są inne konsyderacye. On to tak dobrze wie o mnie, jak ja o nim, że się nie lubimy; wypadnie więc łąać politycznie, a mnie to dławi... i albo ja, albo ktoś z moich wyrwie się z ladajakiem słowem — piwa nawarzy! On będzie we wszystkim szukał aluzyi — a my, choć niechcący, puścim mu jaką finfę. Mówiłem to już jenerałowi. Z wielkiej adoracyi wyrośnie złość jeszcze większa.

Książę się wziął za głowę.

— Będziemy w nim musieli sławić jagiellońską krew, choć kto wie, jaka tam w jego żyłach płynie.

Zzymnęła się Morawska.

— Dałbyś pokój! Dostyc, że królem jest... albo go nic trzeba było koronować, lub teraz kłaniać mu się należy. Bądźcobądź, pan wojewoda wileński na granicy księstwa będzie go musiał powitać. No i cóż? Nie poprosi go do siebie w gościnę?

— Ale, ale, gdyby się ona boćwinką obe- szła — mruknął wojewoda, który sobie znowu puścił cugle. — Zamek mi do góry nogami przewrócą. Trzeba mu bedzie prezentować wszystko, począwszy od psiarni aż do baletu... fajerwerki palić, baranią pieczeń skwarzyć, w Albie flotę sztyftować, pułki

ściągając, niedźwiedzie zwozić, i całą szlachtę na dwadzieścia mil wkoło zwoławszy, ją i jej konie żywić. I gotowa mi jeszcze na te dni przypaść słabość mojej Nepty, dozoru nie będzie, głowy potracą wszyscy — nieszczęśliwe stworzenie, wraz z potomstwem padnie ofiarą! Ród na niej wygaśnie!

Jenerałowa śmiać się poczęła serdecznie.

— Słowem, — odezwała się — że Nepta na przeszkodzie wszystkiemu, i bodaj ona u was w większej cenie, niż...

Nie dał dokończyć wojewoda.

— Niż wielu ludzi, — dodał żywo — ano, tak. Asińdzka powinnaś wiedzieć, że oprócz Nepty nikt mnie nie kochał.

— Godziż się to mówić! — przerwała z oburzeniem jenerałowa.

— Godzi, bo prawda — ciągnął dalej wojewoda. — Nepta mnie jedna kochała i nie żądała nigdy ode mnie ani zastawy, ani dożywocia, ani żadnego zapisu... kontentowała się kośćmi z talerza. Morawski, stanąwszy naprzeciwko mówiącego, ramionami rzucał, spoglądając to na niego, to na żonę.. Wojewoda tymczasem, jakby sam do siebie mówiąc, mruczał coraz ciszej i skończył niedosłyszonym szeptem, który w kalteszalu utopił.

Jenerałowa spokojnie zażywała tabakę, książę utarłszy wąsy, nanowo zagaił głośniej:

— Ja wiem, wy na swoim postawicie. Wasze zawsze na wierzchu — ja muszę słuchać wszystkich, począwszy od Bernatowicza i ks. Katenbrynka, aż do księcia krajczyca i asani dobrodziejki. Niechajże zawczasu poszlą fury do lasu po miotły, bo po tych gościach śmiecie przyjdzie wywozić przez pół roku. Pani jenerałowa też z fraucymerem się miej na bacności, bo to dwór bez pardonu. Przyjedzie ks. Naruszewicz, który na stare baby szczególnie jest łasy, inni na młode, nie darują nikomu...

— Nie plótlbyś! — zawołała Morawska.

— Zobaczycie, — ciągnął dalej niezmordowany książę — zobaczycie, jeśli nie będę prorokiem. Z tych wielkich czułości wyrosną kwasy, będzie potem płacz i zgrzytanie zębów... Finfa musi być, nic nie pomoże... kto ją puści nie wiem, ale, że zawczasu powinien nos przygotować — to pewna... Nasiedliście się na mnie wszyscy — siła złego na jednego, muszę być posłusznym. Teraz z dwojga nieuchronne jedno, wystąpiwszy poradziwiłowski, powiedzą adulatory i pochlebcy, będzie zamało im — krzykną, żeśmy rokoszanie i rebelizanty... Ano! Dziej się wola wasza!

Wojewoda byłby ciągnął dłużej jeszcze, gdyby w tej chwili Nepta nie poruszyła się, nie ziewnęła głośno, nie zaczęła się wyciągać i strzepywać, poczem o kolana pańskie otrzeć się przyszła i zwieszoną polizała rękę. Z wielką czułością pochylił się ku niej wojewoda i począł z nią rozmawiać pocichu. Wyzlica, jakby go rozumiała, ogonem wywijając, patrzyła mu w oczy. Zdawało się, jakby szcześnie chciała, ale na ziewaniu się skończyło.

Oboje państwo Morawscy spoglądali na to powitanie przebudzonej z politowaniem i rodzajem



szyderstwa. Książę zdawał się o nich zapominać — zadzwonił. Wbiegł natychmiast pacholik, będący na straży. Na tego spadła bura, że Nепcie świeżej wody zapomniał postawić.

Jenerałowa tymczasem, poczekawszy nieco, dała znak mężowi i powstała.

— Zatem — odezwała się, tabakę zażywając — rzecz jest postanowiona. Król będzie w Nieświeżu, a ty go pojedziesz na granicę zaprosić. Należy teraz myśleć niezwłocznie o przyjęciu.

— I o finfie — cicho szepnął wojewoda, a Morawska kończyła, udając, że nie słyszy:

— Potrzeba się zacząć gotować! Jeżeli się nie mylę, bytność króla przypadnie jakoś na połowę septembra. Więcej nad sześć do siedmiu tygodni nie mamy na wszystko. Czas więc już się krzątać...

— Krzątajmy się! — westchnął z rezygnacją książę. — Niech jutro do mnie przyjdzie Bernatowicz rano, a ja się tymczasem namyślę... Kiedyś grzyb, leż w kosz... musiało się na Radziwille skrupić... Ogiński kanały kopał — a ja cierpię za niego!

\* \* \*

Król zrana przechadzał się po gabinecie, jenerał Komarzewski stał na boku o stolik oparty, czekając, aż się Naj. Pan namyśli. Na twarzy pięknej jeszcze, ale zmęczonej i wyżytej Poniatowskiego, świecił, rzadki na niej, promyk wewnętrznego zaspokojenia... Stawał czasami w tej przechadzce, białą, piękną ręką brał się za świeżo ogoloną brodę i dumał, potem z uśmiechem satysfakcyi wewnętrznej, wracał do po- wolnej przechadzki i rozmyślenia. Komarzewski zdala przypatrywał się z rodzajem czci i poszanowania. Był to jeden z tych ludzi niewielu, którzy w króla wierzyli...

Kilka minut trwało milczenie.

— Wiesz, mój jenerale, — odezwał się nareszcie król, stając naprzeciwko niego — jest to, jakem ci mówił, chwila właśnie sposobna, aby wszystkie ślady dawnych waśni, nieporozumień, rozdrobienia na obozy — zacierać i na przejednanie pracować. Skupić wszystkich około tronu... a jeśli się nie da warchołów pozyskać, zmniejszyć przynajmniej liczbę ich...

Pomilczał chwilę.

— Co myślisz, — dodał — gdybyśmy się postarali teraz na Litwie sobie Radziwiłłów zjednać? Ludzie są niewielkich głów wogóle, namiętni, nierozważni, ale tradycje ich wiążą z krajem, wpływ mają wielki, a nie zbywa im na tem, czem on się konserwuje, na pieniądzach... Panie-kochanku teraz ze mną ani źle, ani dobrze... A gdybyśmy spróbowali..., pomacali, czyby mu odwiedziny w Nieświeżu nie pochlebiły i nam go nie pozyskały? Jak ci się zdaje?

Komarzewski się uśmiechnął.

— Najjaśniejszy panie — odparł z poufalością poszanowania pełną starego sługi. Czyżbym ja mógł inaczej i lepiej coś wymyśleć nad waszą królewską mość? Myśl jest złota... Radziwiłowie, bądźcobądź, zachowali na Litwie ten urok, jaki miała ich rodzina od wieków... a który połączenie z dynastją jagiellońską powiększyło jeszcze... Znaczy to coś zawsze, iż Barbara była na tronie... Dziś księżę Panie-kochanku na świeczniku, bo najmężniejszy, choć zresztą... Po ustach króla uśmiech się prześliznął.

— Co mówisz na odwiedziny w Nieświeżu? — zapytał.

— Powtarzam waszej królewskiej mości, — rzekł generał — myśl złota, ale się nie trzeba łudzić i dla was, najjaśniejszy panie, wykonanie będzie utrapione... Z Radziwiłłem potrzeba pić...

— No, kieliszek! Za pomyślność domu... — odparł król — zmożę się, choćbym odchorować miał... Gdy polityka nakazuje, niejedno przełknąć potrzeba.

— Kieliszek! — zawołał Komarzewski. — Wasza królewska mość sądzisz, że tam kielichami piją?

Poniatowski głowę wcisnął w ramiona.

— To już chyba ty mnie wyręczać będziesz musiał — rzekł śmiejąc się. — Ale mówmy najprzód, jak do tego przyjdziemy, ażebyśmy w Nieświeżu upić się mogli?

Zadumał się Komarzewski. — Kogoś podstawimy dla insynuacyi — odezwał się, trochę pomyślawszy. — Wam, najjaśniejszy panie, napraszać się nie wypada; mnie nadto znają, jako oddanego waszej królewskiej mości; a będziemy musieli popchnąć neutralnego kogoś do generała Morawskiego. On i żona jego myśl podadzą wojewodzie. Musi zaprosić.

— Naturalnie — rzekł król, ostygając zwolna, w miarę, jak myślą następstwa wszystkie kroku przedsiębranego rozważał. — Naturalnie. Polityka obecnej chwili może nas zmusić do tego kroku, chociaż, Komarzesiu mój, z mojej strony będzie to ofiarą wielką. Z Radziwiłłem potrzeba chodzić ostrożnie, umieć mu się akomodować. Fraszka to z rozumnym nieprzyjacielem, ale z takim, jak ów pocziwiec Panie-kochanku! Ja, król, w porównaniu z nim, ubożuchny jestem. Oprócz orderu, którego mu dać już nie mogę, bo go ma, niczem się nawet wywdzięczycić nie potrafię za gościnę, która go szalenie kosztować może, nie dla mnie, ale dla miłości własnej.

— O! Że Radziwiłł monumentalnie wystąpi, o tem ani wątpić, — przerwał Komarzewski — że go to krocie może kosztować — niema słowa; ale go stać na to.

— Byle nic popełnił jakiej nedorzeczności — wtrącił król — próżny jest... lękam się. — Musielibyśmy tam kogoś postawić dla kontroli, — rzekł generał — ale najprzód wasza królewska mość zechcecie objawić stanowczą wolę swoją.

— Muszę o tem z Chreptowiczem i z Platerem pomówić jeszcze, — odezwał się Poniatowski — a ty, mój generale, ze swej strony, proszę cię, wyrozumiej zdaleka, nie wydając się z tą myślą, bo, anuż cofnąć się będziemy musieli?

Skłonił się Komarzewski.

— Mnie się zdaje, — rzekł ciszej — że rzecz się wykona i że będzie pożyteczną, ale żal mi zawczasu waszej królewskiej mości... sroga to będzie ofiara.

— Zgóry to przeczuwam, — westchnął król — lecz przyznasz mi, że zbyt drogo zgody i jedności opłacić nie można. Jest to chwila jedyna, w której silne stronnictwo stworzyć na podporę naszą możemy i musimy, a zatem... bądźcobądź!

Chwilkę podumał król i szepnął, palec kładnąc na ustach.

— Nie wydaj mnie tylko z sekretu. Musi się to stać nie przeze mnie, ale... samo przez się. Sam wojewoda powinien tego pożądać. Bliskość Nieświeża myśl mu tę podać musi. Będziemy oglądać kanały, zapłyniemy aż do Pińska. — Marszruta jeszcze nie jest stale oznaczoną, czasu mamy dosyć, choć Nieśwież nam kilka dni będzie kosztować. Książę się zechce popisywać ze wszystkim, i strzelać, i pływać, i muzyki słuchać nam każe.

— Gdyby tylko na tem sio skończyło! — westchnął król. — Ale kieliszek ten, który mam w obrzydzeniu!

Komarzewski westchnął.

— Nie śmiem stawać w jego obronie, — szepnął — lecz ma on swą dobrą stronę. Wiele rzeczy się nim wytłómaczyć daje i uniewinnić. Jak za mgłą wychodzą obrazy niejasno, a tego czasem potrzeba.

Król gdzieindziej już był myślami.

— Przez Radziwiłła, — rzekł — zjednawszy go, wybór posłów mieć będziemy zapewniony, takich, jakich potrzebujemy, abyśmy trudne przeprowadzili wnioski od tronu. Rozumiesz, że nic o ten sejm mi idzie, ale o przyszły i następne. Mam zbyt wielu nieprzyjaciół jawnych i skrytych. Czas jest starać się o przejednanie i zgodę. Nie zrozpaczyłem o Branickim, z Radziwiłłami jesteśmy dobrze, ale potrzeba być serdecznie, podpierać ich i mieć ich zawsze za sobą. Panie-kochanku jest bądźcobądź potęgą. Nie wysoko cenię jego zdolności, bo on się z niemi popisywać nie umie i gra rolę bufona, ale nie zbywa mu może na przebiegłości.

— Dla mnie on zagadką, — odezwał się Komarzewski — bo obok chwil szалу ma momenta wielkiego rozumu.

— A zdaje mi się, że głaszcząc miłość własną jego, pozyskać go można. Rozumiesz to, że ja się mu wpraszać nie mogę, — rzekł król — musi on mnie zaprosić, ale radbym, ażeby się to stało.

Po tej krótkiej rozmowie z Komarzewskim, król w parę godzin, wyszedłszy z gabinetu, wśród osób, które codziennie zrana przychodziły mu się pokłonić i dowiedzieć, czy niema rozkazów do wydania, zobaczył kasztelana Platera. Był to jeden z przyszłych towarzyszy podróży, tak niezbędny, jak ks. Naruszewicz. Nie było tajemnicą dla nikogo, że Plater utrzymywał pracowity dziennik swojego żywota i czynności. Układny, zręczny, ani się nadto narzucający, ani dający zatrzeć i zakryć,

Plater był jednym z najpraktyczniejszych dworaków, przewidujących zawsze przyszły wiatru kierunek i zastosowujących się do niego. Płynąć przeciwko prądom i narażać się na walkę nie lubił. Z twarzy jego wyczytał Naj. pan, że kasztelanowi pilno było coś mu oznajmić, a że miał wyśmienite stosunki i z ambasadą, i potrosze wszędzie, król, zręcznie manewrując, przybliżył się do niego.

— Najjaśniejszy panie, — szepnął Plater — jedziemy z Białowieży do kanału, potem kanałem, część drogi wodą, dalej lądem, ale cała ta podróż może się nazwać hydrograficzną, a jednej rzeczy zapomniano w niej.

— Jakiej? — spytał król.

— Całemu światu wiadomo, że w Albie wojewoda wileński pokopał kanały i jeziora, dla zafundowania tam floty i odrodzenia marynarki — rzekł kasztelan. — Oglądać kanał muchawiecki, a nie widzieć marynarki Radziwiłła, co świat na to powie?

Zdziwił się król tej interpelacji i, zamiast odpowiedzi, wtrącił:

— Nie widziałeś dziś generała Komarzewskiego?

— Ani nawet wczoraj — odparł Plater.

— Zkądże ta myśl o Albie i marynarce radziwiłłowskiej? — rzekł król.

— Myśl ta, przyznać muszę, nie moja, — pokornie odezwał się kasztelan — słyszałem ją z ust wielu przyjaciół księcia wojewody.

Mówiąc to, pilno w oczy spoglądał Naj. panu, który, stał napozór zimny i roztargniony. Trwało milczenie chwile. Plater czekał, Rozumiesz to, iż ja się zaprosić nie Togę — rzekł król wkońcu.

— Naturalnie, ale, czy się wasza królewska mość dasz zaprosić? — zapytał kasztelan.

— Czy masz polecenie mnie sondować.

— Nie — alebym rad na wszelki wypadek wiedzieć opinią waszej królewskiej mości.

Król pomyślał chwilę.

— Z jednej strony wszystko co zbliża i jednoczy, dobrem jest i pożądanem, — odezwał się — z drugiej bardzo to drażliwa i śliska wyprawa... gdzie i krok każdy i słowo wielce wyważyć trzeba i nieprzewidziane przewidzieć, aby, co miało zbliżyć, nie — rozdarło...

— Nad tem służy waszej królewskiej mości czuwać powinni — rzekł Plater żywo.

Nadchodzący panowie nie dali mówić dłużej, ale król wejrzeniem się porozumiał z kasztelanem.

Narada Komarzewskiego w kółku najbliższych króla przyjaciół i rodziny, skończyła się przyjęciem wielce ochoczem podanej myśli. Wszyscy byli za tem, aby zbliżenie się do wojewody i

jego rodziny, jak najściślej węzłem utrwalić — choć wspomnienie serdecznych stosunków z Branickim i ze Szczęsnym Potockim, które się obróciły potem w zajadłą nienawiść obu — mogły zrażać Poniatowskiego. Lecz doświadczenie mało kogo uczy, a tu zupełnie odmienny charakter człowieka, zdawał się więcej obiecywać. Nie potrzebował on nic, oprócz trochy kadzidła.

Król jednak, bystrzej niż inni widzący rzeczy, lękał się, aby w kółku przyjaciół wojewody, w jego rodzinie, nie znaleźli się złośliwi, coby, albo jego królewskiej godności w czem mogli ubliżyć, lub aluzyą jakąś go upokorzyć. Wiedział, jak ze swoją krwią i rodem wysoko się nosili Radziwiłłowie i czem dla nich był stolnik litewski; im, którzy Czartoryskim ich jagiellońskiego pochodzenia zaprzeczali.

Tymczasem myśl ta zaledwie podszeptnięta, jakby się zarazem zrodziła w wielu głowach, już zaprzętała przyjaciół — i wszyscy ją znajdowali szczęśliwą, naturalną, a niektórzy sądzili, że pominięcie Nieświeża byłoby uchybieniem dla książęcego domu. Zdaniem ich, król się mógł nawet bez ujmy godności swojej, sam zaprosić do Radziwiłła.

Stanisław August, pani Krakowska, prymas, wszyscy sobie życzyli tych odwiedzin, ale jeden król tylko obawiał się, aby wśród nieuniknionych pochlebstw i kadzideł, nie ukryło się żądło jakie. Tak łatwo było jednym słowem rozbudzić nieprzyjemne wspomnienia! W parę dni potem mówiono już głośno o tem, że król zechce zapewne Radziwiłła odwiedzać, że książę zapewne prosić go nie omieszka, i że pożądanem byłoby, aby w ten sposób królewski obóz się na Litwie ubezpieczył od nieprzyjaciół, jakich mu upadek Tyzenhauza przymnożył. Z obu stron rozpoczęły się rokowania w tym celu.

\* \* \*

Książę wojewoda wileński miał wprawdzie spisane sługi swoje i postanowioną ich liczbę, ale fantazyja pańska nieustannie ją zmieniała. Mało kto się odprawiał, w ciągu roku zaś bardzo wielu przybywało. Odchodzili ci tylko, którym się dostawało dożywocie i chleb łaskawy dla wieku, zastaw lub dzierzawa; natomiast zjawiali się kandydaci na ich miejsce i zajmowali synekury mnogie, mnożąc liczbę darmozjadów i tak znaczną. Rachowano do dworu i dworzan i takich, którzy zaledwie parę razy do roku przybywali do Nieświeża po wyznaczone jurgiely i dla przypomnienia się księciu jegomości. Wielu ze sług swych książę nie znał wcale. Oprócz nich trafiało się, iż od familii i przyjaciół przyjeżdżali posłańcy z listami, którym na odpowiedzi czekać kazano, zapominano o nich, ci się też nie naprzykrzali z odprawą i czasem po roku siedzieli w Nieświeżu, jedząc, pijąc, jeżdżąc na polowania, a konie przekarmiając i służki.

Ludność dworu nieświeskiego była ogromna, karność dosyć luźna, swobody wiele, dostatek pański, i wszystkim wogóle dobrze się działo. Cisnęła się też tu zdala nawet szlachta uboga, polecana przez przyjaciół księcia, a kto umiał przypodobać się i wpaść w oko, ten wprędce sobie przyszłość mógł zapewnić.

Książę, chociaż pamięć miał dobrą, z drobniejszych dworzan swych i komorników wielu znał tylko z twarzy.

Do mniej się narzucających, ale od lat już wielu w służbie księcia zostających, liczył się podówczas pan Seweryn Szerejko. Kto go księciu polecił, nikt sobie nie przypominał. Miał pismo czytelne i piękne, obeznany był z łaciną i w początkach wzięto go do kancelaryi dla kaligrafowania listów, które z niej wychodziły. Niewiadomo, jakim sposobem potem Szerejko się uwolnił od siedzenia za stołem i gryzienia pióra, które często nie miało nic do czynienia, a objął obowiązki bibliotekarza, chociaż tu podówczas książkami się nikt nie zajmował. Było ich dosyć po zamku w różnych kątach porozrzucanych; jedna izba nawet spora zwała się biblioteką, ale do niej nikt nigdy nie zaglądał. Na pułkach najwięcej się książek takich znajdowało, których autorowie książętom je dedykowali i przynosili. Ze starszych lat pozostały po księżnach francuskie, po Sierotce, po ks. Albrechcie pobożne łacińskie, po dawniejszych jeszcze biblie i teologiczne rozprawy, ich kosztem wydawane. Wszystko to pył przysypywał, a jeśli się komu podobało, zaszedłszy przypadkiem, wziąć co pod pachę, nikt się nie sprzeciwiał. W archiwum, gdzie się zdawien dawna przechowywały akta i dyplomy, dotyczące się księstwa litewskiego, pilność i dozór były wielkie. Szczycili się Radziwiłłowie tem spadkowym kanclerstwem, ale co do książek, te ich wogóle mało obchodziły. Więcej ich znajdowało się pono w Ołyce, niż w Nieświeżu.

Szerejko był chłopak ciekawy, a szczególny miał popęd do dłubania się w książkach, co naówczas jeszcze osobliwością było w świeckim człowieku. Niewielkiego wzrostu, z głową kędzierzawą, choć nie miał trzydziestu lat, już łysiec zaczynającą, z oczkami czarnymi, wypukłymi, z twarzyczką okrągłą, drobnych rysów, ruchawy, odziany zawsze skromnie, niezbyt rozmowny, Szerejko pod pozorem porządkowania i spisywania biblioteki, wyrobiwszy sobie polecenie to, od lat dwóch w niej siedział i urządził się bardzo wygodnie, od wszystkich niezależnie.

Nikt mu tu gospodarzyć nie bronił. Do nieopalanej, tak zwanej biblioteki, przytykała izba z piecem, w której stół i krzesło sobie u okna ustawivszy, Szerejko siedział tu jak u Boga za piecem, robiąc co chciał, albo i wcale nic, gdy ochoty nie miał. Chodził regularnie do marszałkowskiego stołu, jadł milcząc, słuchał rozmawiających, a zresztą nikomu w drogę nie wchodząc, mało na siebie zwracał uwagę.

Swobodniejszego życia trudno sobie wyobrazić, bo oprócz obowiązku kłaniania się starszyźnie, którą w podwórzu spotykał, żadnego innego nie miał prawie ów bibliotekarz improwizowany. Nadzwyczaj rzadko się trafiało, aby kto jakiej książki zażądał, albo zajrzał do biblioteki. Raz zaszedł tu pan Matusewicz, potem pan Michał Zaleski, a że statuty, korektury, *volumina legum* leżały w kancelaryi do codziennego użycia, do biblioteki, o której egzystencji mało kto wiedział, wcale się nie zgłaszano.

Szerejko mógł bez żadnej przeszkody czytać i odczytywać, co mu się podobało, a był nienasycony i siadywał w książkach godzinami. Umysłu czynnego i niespokojnego, oprócz tego, gdy czas miał wolny, kręcił się pomiędzy dworem, podsłuchiwał, patrzył — i lepiej znał tu ludzi i stosunki nad tych, którzy do tego byli obowiązani, aby czuwać nad nimi. Człowieczek był ze wszech miar osobliwy. Sam on opowiadał się sierotą bezdomnym i daleką tylko a obojętną mającym rodzinę. Mówiono, że począł był od tego, iż ze szkółki poszedł do seminaryum, lecz rozmyśliwszy się potem, że do stanu duchownego nic miał powołania, zrzucił sukienkę i niewiadomo za czyją protekcją do

księcia się dostał.

Tu, jakżeśmy mówili, z kancelaryi wydobył się bardzo zręcznie na zupełną prawie swobodę, i używał jej na grzebanie się w książkach. Z ludźmi, chociaż wcale od nich nie stronił, milczącym był wogóle i zamkniętym, ale badać ich i dowiadywać się umiał tak dobrze, iż dla niego tajemnic tu żadnych nie było.

Starszym kłaniając się, czapkując, okazując posłusznym, miał ich dla siebie dosyć dobrze usposobionymi, ale ani się do nich zbyt przybliżać, ani się obcować nie starał. Natomiast z uboższymi i biedniejszymi wdawał się chętnie i razem z nimi utyskiwał na ucisk, na który oni skarżyć się zwykli — słusznie albo nie. Każdy stękający był pewnym, że go mieć będzie za sobą. Szerejko nie tylko sympatyzował z nimi, ale czasem się z tem wydawał, że miał niechęć i nienawiść ku możnym i u góry siedzącym. Sam unikając mieszania się do spraw cudzych, podawał rady, wskazywał drogi, żywo się zajmował ich losem, a szczególnie cieszyło go to, gdy mógł krwawego figla spłatać komu ze starszyny. Im zaś wyżej sięgnąć zdołał, tem go więcej radowało. Zacierał naówczas ręce i oczki mu się świeciły jak u kota.

W ten sposób biedniejszych sobie pozyskując, Szerejko między nimi miał przyjaciół i najlepszych szpiegów, donoszących, co gdzie pochwycić mogli. Był zaś ciekawym wszystkiego.

Wiadomość o tem, że króla jegomości ewentualnie spodziewano się w Nieświeżu, i że tu się gotowało wielkie i uroczyste jego przyjęcie, natychmiast przez podsłuchujących u drzwi dworzan ciekawego Szerejkę doszła.

Oczki mu się zaśmiały; podumał i poszedł do biblioteki, po której długo się przechadzał, rozmyślając. Można go było posądzać, że coś knuł, tak w sobie zatopiony długo medytował, niekiedy oznaki dając wielkiego jakiegoś poruszenia i złośliwej radości. Nie było tajemnicą dla nikogo, że król, również jak wszyscy, co go otaczali, nie wyjmując nawet rodziny księcia, a bodaj i jego samego, dla Szerejki byli nieprzyjaciółmi nienawistnymi. Im niżej się im kłaniać musiał, tem dla nich miał większą niechęć i od nich odrazę. Nieraz się z tem zdradził, że gdy księciu się coś niemiłego przytrafiło, uciechę z tego miał wielką.

Ze szlachty, a nawet z ludu wiejskiego, którego naówczas nikt nie miał za boże stworzenie, im kto biedniejszym był a więcej przyciśniętym, tem Szerejko goręcej się nim zajmował.

Żaden wyraz częściej się na jego ustach nie zjawiał w cichym szepcie nad "tyran" i "tyrania". "W bibliotece, samnasam będąc, niekiedy pięść zaciśniętą podnosił do góry, usta zagryzione przekrzywiał i zdawał się odgrażać całemu światu.

Nadzwyczaj go też radowało, gdy mógł kogo z tej starszyny wydrwić lub naprowadzić na powiedzenie niedorzeczności. Wykonywał zaś to napozór dobrodusznie tak, niewinnie, jakby mu przychodziło mimowoli. Bo narażać się sam i w walkę wdawać nie lubił, i choć się potem z rozkazów miał wyśmiewać, spełniał je najakuratniej.

Z tą pozorną dobrodusznością, gdy tylko mógł, podburzał niechęć w drugich, ośmiewał pocichu, sam się z nią nie zdradzając wcale.

Dnia tego, gdy się pocichu wiadomość rozchodziła między dworem, że król miał przybyć do Nieświeża, Szerejko, dosyć długo się nabiegawszy po bibliotece, pod wieczór ukradkiem poszedł ku stajniom.

Stajnie te radziwiłłowskie, chociaż książę sam jeźdźcem szczególnym nie był, a coraz większej nabywając otyłości i wzrok mając słaby, nie rad sił? Konno puszczał, bo raz siadłszy na koń, zuchwale się z nim obchodził — obfitowały w konie cugowe, to jest woźniki okazałe, najrzadszych maści: izabelowe, białe, taranty, i t. p., w wierzchowce wschodniej krwi, szczególnie hiszpańskie konie, naówczas wielce ulubione, chociaż ciężkie i z głowy baranie przypominającemi. Oprócz koni dworzan, urzędników, kozaków, bojarów, samych pańskich stało tam tyle, że dozór nad niemi aż trzem koniuszym był powierzony. Dozór mieli nad stajnikami koniuszowie: Borzęcki, Kamiński i Szabański, ale oprócz nich urzędników pomniejszych nad masztarniami, wozowniami, powozami, przy obrokach i rejestrach było kilku, a pachółków i czeladzi bez liku.

Sekretarzem Borzeckiego przy rejestraturze, był od roku przeszło młody szlachcic, blady, niepozorny, słusznego wzrostu, chudy, o którym tylko tyle wiadano, że pochodzić miał z kijowskiego. W mowie też z rusińska zarywał, ale mało kto go znał i on mało z kim obcował. Szerejko tylko, który z każdym nowo-przybyłym musiał zrobić znajomość i zbadać go — zapoznał się z nim zaraz, rozpytał go i, gdy się okazało, że biednym był — począł się nim zajmować. Zdaje się wszakże, iż nie tyle bieda co nazwisko, przyciągało do niego Szerejkę. Utrzymywał bowiem, że się zwał — Poniatowskim.

Nie zważano jakoś na to, a powszechnie, albo go zwano Rusinem, albo Filipem po imieniu. Szerejko tylko sobie nazwisko zanotował w głowie dobrze.

Ów pan Filip na dworze wcale się nie odznaczając niczem, ginął w wielkiej liczbie sobie podobnych. Służył panu Borzęckiemu, który już wielkim panem był i chętnie się nim wyręczał bardzo dobrze, a choć może o sobie pamiętał i dwa koniki karmił, nie mając prawa tylko do jednego, nic mu zarzucić nie było można. Borzęcki klepał go po ramieniu, obiecywał pensją powiększyć i raz gratyfikacją wyrobił.

Od czasu do czasu, Szerejko się do niego dowiadywał i nie spuszczał go z oka.

Rusin miał mieszkanie nad masztarniami, dwie izby trochę niskie, ale wcale porządne. Czuć w nich było skóry, rzemienie, dziegieć i farby, któremi na dole powozy stare odświeżano, ale zresztą było w nich wygodnie i zaciszno. Ubóstwo pana pisarza aż nadto biło w oczy. Jedna skrzyneczka, z którą tu przybył, rządzik lichy, trochę odzieży, łóżeczko, na którym zamiast kołdry, wytarta opończa ze starym kozuszkim się rozpościerała, szabelka oprawna w stalową pochew z rapciami zużytemi, w głowach łóżka, gromnica z wianuszkami od Bożego Ciała... i niepozorny krzyżyk, składały całe mienie i sprzęt gospodarza. Gdy Szerejko drzwi pierwszej izby otworzył, Filip, który siedział nad rejestrami, skoczył z piórem za uchem na przyjęcie, niewiedząc kogo miał witać, bo gości niewiele miewał. Szerejkę zaś z wielkiem uszanowaniem, jako i wiekiem i urzędem starszego, zwykł był przyjmować.

— No, co waćpan tu najlepszego porabiasz, - — odezwał się, wszedłszy Litwin, i siadając za stół — co nowego u was? Jak ci jest?



P. Filip skulił się, ramionami ruszając.

— A cóż! Rejestra, jak widzicie, piszę, a zresztą niema u mnie nowego nic, oprócz, że mi stęchły owies przysłali, i bieda z tego będzie.

— E! Co tam owies! — odparł Szerejko, pochylając się ku niemu. — A cóż ty o tem myślisz, że król Poniatowski ma zjechać tu do nas, do Nieświeża? Filip oczy wielkie wytrzeszczył.

— Nie może być! — zawołał.

— Jak! Nie może być? Kiedy ja ci powiadam — przerwał Szerejko. — Najpewniej król zjedzie i parę dni tu zabawi... He!

Zamyślił się mocno Rusin.

— Wszakże ty także się nazywasz Poniatowski?

— A jakże! A jużciż! — żywo bardzo odparł pisarz — i na to mam dokumenty, że szlachcic jestem Poniatowski...

Spojrzał na Szerejkę, który, jak zwyczaj miał, gdy go co mocno zajmowało, paznogie wściekle ogryzał...

— Hm! — począł, wpatrując się w mocno poruszonego Rusina — hm! Cóż wy na to, że król Poniatowski do nas przyjedzie, he?

— Ba! Żeby nie strach — rzekł pisarz, głos zniżając — wiedziałbym ja, co mam zrobić. Matka nieboszczka ciągle mi to w uszy kładła, że się koniecznie do króla trzeba udać i że nie może być, aby Poniatowski Poniatowskiemu nie pomógł; choć prawda i to, że on, król jegomość, nie z Rusi, a my od wieków osiedli byliśmy nad Dnieprem.

— A cóż to znaczy? — przerwał Szerejko. — Czy nie wiesz o tem, że szlachta, Mazury i Wielkopole, gromadami na Wołyń i na Ruś się przesiedlali od wieków, gdzie o ziemię łatwiej było i nie taką piaszczystą, jak na Mazurach? Wyście też z tego samego pewnie Poniatowa, co i król. A herb wasz jaki?

Filip się zarumienił i w głowę poskrobał; głos mu ścichł.

— Musi być Ciołek, kiedy inni Poniatowscy go używają — szepnęła bojaźliwie.

— Mów śmiało, że Ciołek — przerwał, śmiejąc się, Szerejko. — Co masz sobie żałować. Szlachcic jesteś, no, a szlachty Poniatowskich innej niema, tylko Ciołek.

Filip dumiał... chwilę oba milczeli, Rusin, jakby strwożony, w ziemię patrzył, Szerejko na niego.

— Mielście kiedy posiadłość jaką? — zapytał.

— Ojca ja nie pamiętam, — począł pisarz — a matka nieboszczka rozpowiadała, jakobyśmy dwie wsie mieli, tylko kiedy i jakie, nie wiem. Ojciec jednak u Lubomirskiego potem był w urzędzie i gracyalistą.

— A papiery masz jakie? — badał Szerejko. — Juźcić mam! — zawołał śpiesznie, klucze

dobytą z kieszeni Filip i idąc do skrzynki. Otworzył kłódkę i zamek od niej, począł się grzebać do głębi pisarz i dobył fascykuł, tasiemką czarną, pono jeszcze ręką matki, związany.

— Daj mi go tutaj — odezwał się Szerejko. — Nie jesteś widzę ciekawym.

— A co mnie po tych szpargałach! — westchnął Rusin. — Jeść mi one nie dadzą.

— Kto to wie! — mruknął, rozwiązując Szerejko i szybko, ze znajomością rzeczy widoczną, rozpatrując się w pozółkłych dokumentach, które z kolei na stole składał.

Były to po większej części wypisy z metryk, ślubne intercyzy i testamenty. Szerejko z nich tyle się tylko dowiedział, że dziad Filipa miał majątek dzierżawą, że matka wniosła ojcu pięć tysięcy złotych i którego roku na świat przyszedł obżałowany. Dalej już nie sięgały papiery, mogły być tylko wskazówką, gdzie innych szukać było potrzeba.

Ostatnią metrykę cisnął na stół Litwin.

— A na co ci więcej nad to, ii jesteś szlachcic i Poniatowski! — zawołał. — Starczy tego, aby się do króla przypytać.

Błademu Filipowi szare oczy się trochę wyjaśniły, uśmiechnął się.

— Ale z tem potrzeba ostrożnie, bardzo ostrożnie — dodał Litwin, głos zniżając. Królowi naturalnie przyjemnem to być nie może, iż ubogi Poniatowski służy przy stajniach Radziwiłła. Będzie się mu wydawało, że wojewoda umyślnie dla szykany przyjął go sobie za sługę. Zapomniano widać o twojem nazwisku, a ty go też teraz nie przypominaj, chcesz-li co dobrego zrobić. Filip rękę załamał najprzód, a potem rzucił się w ramię całować Szerejkę.

— A radźcie wy mnie! Radźcie, proszę! — zawołał. — Ja sobie sam z tem rady nie dam. Wy macie dobre serce... mówcie, co ja czynić mam!

Namyślił się Szerejko.

— Dziś zgóry tego nie można przepowiedzieć, jak ci wypadnie postąpić, — rzekł cicho — ale nie ulega wątpliwości, że zrzeczność się znajdzie, abyś się do króla samego zbliżył, lub do którego z panów przy nim będących. I nie może być, aby król przecież nie umieścił cię lepiej i nie pamiętał o tobie, ale!...

Szerejko palcem pogroził.

— Milcz! Ani się bardzo na oczy pokazuj, aby sobie nie przypomniano, że jesteś Poniatowskim,

bo cię zaraz ztąd sprzątną i do Naliboków, albo do Białej odprawią. Książę zrozumie, iż królowi to stanie za przymówkę, gdy się znajdzie ubogi Ciołek przy wojewodzińskich stajniach. Więc pierwsza rzecz — *silentium!* Ani mru-mru!

Filip zamiast odpowiedzi, w rękę go pocałował.

— Bądźcie moim opiekunem! — zawołał — zrobię, co każecie.

— A i o tem powinniście pamiętać, — dodał Szerejko — żebyś mnie nie wydał, żem ci co radził i poddawał; bo, że z tego potem chryja urośnie, to pewna. Tobie to nie zaszkodzi i owszem, ale ja przez ciebie ginąć nie chcę.

Uderzył się w piersi pięścią Poniatowski, aż jęknęło, protestując, że nie zdradzi.

— Słuchaj że, — począł zwolna Litwin — najprzód, z nazwiskiem się temi czasy nie wrywaj. Nazywają cię Filipem lub Rusinem — na tem dosyć. Ja ci dam znać, gdzie, jak i kiedy masz się do króla lub do kogo z panów przybliżyć i prosić o pomoc. Nagotuj sobie suknie porządne, ale niezbyt okazałe.

— Ale ja-bo, oprócz świątecznego kontusza, przerobionego z ojcowskiego, nie mam nic, a pasik — Boże, odpuść! — co mi go' wstyd i dlatego na żupan go wiążę — westchnął Filip.

— Więcej ci też nie potrzeba, — odparł Szerejko — czysto ale ubogo się masz sprezentować. Kiedy i jak — to moja rzecz, tymczasem milczeć, a nawet się nie dowiadywać bardzo o króla, aby to uwagi na was nie zwróciło.

Szerejko sam do siebie uśmiechnął się i widać było, że ten dobry uczynek, połączony z psikusem, wyrządzonym Radziwiłłowi, nadzwyczaj mu smakował. Filip z radości też nie posiadał się, to do ramienia dobroczyńcy przypadając, to ręce łamiąc i chwytając się za głowę.

— Myślicie, że król robi co dla mnie? — zawołał.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości, musi — dodał Szerejko. — Jakimkolwiek ty jesteś Poniatowskim, zawsze nazwisko nosisz toż samo, *probabiliter* i krew jedna, bo prozapia królewska też nieszczęśliwa. Musicie też być lub z Poniatowa, albo z Dusznik.

Filip słuchał, ale widać było, że ani o Poniatowie, ani o Dusznikach nie miał najmniejszego wyobrażenia.

— Gotów mnie jenerałem zrobić! — zawołał prostodusznie i rozśmieszył tem Szerejkę.

— Może i to być — rzekł — ale nie odrazu, poczniesz chyba od pułkownika, a gdyby i rotmistrzostwo ci dał ze starostwem jakim w dodatku, na początek będzie z ciebie. Ale chcesz-li co mieć, — mówił dalej — pamiętaj jedno: nie wrywaj się ani z językiem, ani z nazwiskiem przed czasem. Skryj się bodaj w mysią dziurę, bo gdy sobie wojewoda o was przypomni, albo zamknie, albo wyprawa gdzieś, aby o was do uszu króla nie doszło. Rób, co chcesz, ale staraj się, aby o tobie zapomniano.

— E! — odparł Filip — tu mało kto o tem wie i pamięta, że ja się zowią Poniatowskim. Koniuszy Borzęcki i inni mnie inaczej nie zowią tylko Filipem albo Rusinem, a w początkach z Poniatowskiego robili Koniakowskiego, drwiąc sobie ze mnie.

— Niech drwią; ty z nich potem zadrwisz, ja ci powiadam! — zawołał Szerejko. — Ale książę Panie - kochanku wściekać się będzie, bo mu to nieochybnie na karb dawnej dla króla niechęci policzą, że stajennego sobie przybrał imiennika królewskiego.

Ręce począł trzeć i paznogie ogryzać Szerejko, tak mu wesoło było pomyśleć, iż i królowi nieprzyjemność robi, i wojewodzie figla spleta, i biednemu chłopcu pomoże. Nie przypuszczał bowiem, aby król mógł bodaj tylko imiennikowi nie podać ręki.

Chciał zaraz potem odejść Szerejko, ale go nie puścił rozmarzony Rusin, pragnąc się nagadać o przysłem swem szczęściu i naradzić, jak i co miał czynić. Litwin mu na teraz jedno wrazić się starał — milczenie i nieokazywanie się z sobą, nieprzypominanie nazwiska.

— Uchowaj Boże, przyjdzie komu na myśl, że tu Poniatowski jest, to cię na rękach ztąd co najdalej wytransportują. Król na punkcie rodowitości bardzo drażliwy, bo mu jej braknie. Co się tyczy papierów — dorzucił, jeszcze do rąk je biorąc, Szerejko — zobaczymy, czy się nie uda gdzie wcisnąć *stemma vitelio*. Toby dopiero waszmości na aksamicie postawiło. Ale...

Litwin głową kręcił.

— Niebezpieczna to sprawa — rzekł wkońcu.— Chcąc nadto dobrze zrobić, można popsuć wszystko. Bądźcobądź, daj mi te papiery, rozpatrzyć się trzeba, a nuż...

Związano tedy tasiemką faszcykuł i Szerejko go wsunął głęboko za pazuchę, patrząc, aby nie był widocznym. Z tem już pożegnał Filipa, który po rękach go całując, przeprowadził aż na dół. Litwin się obejrzał dokoła, nie chcąc tu być widzianym, i wymknął się bardzo zręcznie.

Gdy się to działo nad masztarniami, u księcia i na całym już zamku niepokój panował; narady i spory nieustanne o program tego przyjęcia, które możliwości Radziwiłłów miarę dać miało światu.

— Tu już, panie kochanku — mówił wojewoda — niema co ważyć, co będzie kosztowało i zkąd co wziąć; musi być poradziwiłłowski, poksiążecemu, pokrólewsku. Niech zna król jegomość, z kim ma do czynienia. I myśmy też niedaleko od tronów stali. Zastaw się, panie kochanku, a postaw się!

Nikt też księcia mitygować nie myślał, bo wiadano, że tegoby nie dokazał nikt.

Chociaż jesień nadchodząca wyzywała na łowy, a książę ich był chciwy, już nawet o nich mówić nie dawał, tak ciągle był obmyślaniami królewskiego przyjęcia zaniepokojony. Skarżył się, że spać ani jeść nie mógł, a coraz coś nowego wymyślał. Posłańcy nieustannie do Wilna, do Warszawy i do Białej biegali, a z puszczy w Nalibokach zwierza w klatkach przywożono.

Narady co do przyozdobienia zamku, bramy tryumfalnej, pocztów, mających towarzyszyć królowi, mów i powitań, ceremoniału, zabaw, odbywały się po kilka razy na dzień, w których sam książę prezydował i głos zabierał, powtarzając przysłowie, którego nie kończył:

— Nie miała baba kłopotu...

Kłopot wistocie był wielki, bo szło nietylko o wystąpienie godne radziwiłłowskiego domu, ale o to, ażeby zbyteczną pompą króla nie upokorzyć i nie podrażnić. Przytem drobne miłości własne występowały do popisu, bo każdemu się chciało grać jakąś rolę: królowi się zalecić i coś od niego otrzymać. Radziwiłłowski dwór pewnym był, że król w nagrodach hojnym będzie, a nie szło mu o podarki kosztowne, ale daleko więcej o tytuły i ordery, których się wielu spodziewało.

Razem z tem książę, chociaż się z tem nie odzywał, nie był bez pewnej myśli złośliwej

i gdyby się delikatnie udało przypomnieć, czem w stosunku do Radziwiłłów byli Poniatowscy, nie gniewałby się był za to.

Oprócz księcia Hieronima, jenerała Morawskiego, jego żony, zaufane sługi, ks. Kantembrynk, duchowni niektórzy powoływani byli na radę gabinetową (tak ją, śmiejąc się, zwano), która prawie bezustanku w książęcym gabinecie zasiadała. Oprócz wymienionych osób, od czasu do czasu wchodził do niej: dowcipny i złośliwy Seweryn Rzewuski, starosta Wołodkowicz, Wojniłowicz, a z domowych: Bernatowicz i marszałek dworu Fryczyński.

Nadwornym malarzem księcia wojewody, który w malaturach niebardzo się kochał, a dla oczu już naówczas bolących, niewiele zdala mógł rozeznąć, więcej dla formy, niż z potrzeby, mianowany był Litwin Estko, maleńki, żwawy, ognistego temperamentu człowieczek, który, choć poza Warszawę i Kraków nigdy nie wyjrzał, a samouczkiem się mógł zwać, miał się za niewiele późniejszego od Bacciarellego i Smuglewicza. Estko, od którego też tu niewiele wymagano, malował wszystko, co kto zapragnął: portrety, obrazy świętych do kościołów, alegorye dla pań, kwiaty, herby, a odznaczał się tem szczególnie, że robił prędko, i z tego co wymalował, zawsze był bardzo rad, począwszy od kuchtów do księcia chwaląc się przed wszystkimi dziełami swojemi.

Księżciu tem zaufaniem w sobie umiał natchnąć taką wiarę w talent, zdolność, znajomość sztuki, pomysłowość swoją, iż Estkę nad wszystkich współczesnych mistrzów cenił.

— Wiem, — powiadał cicho — że król mi zazdrości, a radby go odmówić, bo z Estki miałby dopiero malarza co się zowie, ale pocziwy Litwin ode mnie nie odejdzie za żadne pieniądze.

Prawdą a Bogiem, wistocie pocziwy Estko był przywiązany do domu książęcego, a choć z wiarą w siebie, nie miał ochoty narazić się na walkę i współzawodnictwo z Bacciarellim.

— To, panie, Włoch, — mówił głową kręcąc — alboby mnie intrygą osławił i pozbył się obelżywie ze dworu, albo nawet struć gotów!

Malował więc portrety księcia, rodziny, sąsiadów, przyjaciół, wymalował nawet Neptę ze szczeniętami, i z Nieświeża ruszać się nie myślał. Gdy wielkich portretów olejno na sztaludze nie miał, robił małe miniatury wcale nawet udatnie. Wiadomem było naówczas całemu światu, że król w sztuce się kochał, obrazy skupował i zbierał, znał się na nich i zajmował gorąco malarstwem. Na pierwszy więc odgłos, że król miał przybyć do Nieświeża, Estce serce w piersi uderzyło. Trzeba się

popisać przed królem.

Pierwszej nocy zasnąć nie mógł. Jakaś alegoryą na wielką skalę koniecznie króla powitać było potrzeba, ale gdzie ją umieścić i jaką? Na bramie tryumfalnej malować na to, aby pierwszy lepszy deszcz jesienny arcydzieło zniszczył, a płótno potem gdzieś w kącie rzucono — Estko ani myślał.

W ogromnej sali, w której się całe towarzystwo gromadzić miało, sufit był białuteńki i pusty. Dla Estki kilka tygodni starczyło, aby na nim zaimprovizować, w smaku wieku, jakiś obraz alegoryczny.

Pewnym był siebie, iż mu się to znakomicie udać musi. Szło o to tylko, ażeby książę uznał potrzebę i potwierdził program, jaki malarz miał już w głowie.

Czasu nie było ani chwili do stracenia. Estko więc raniuteńko, nim jeszcze książę z łóżka wstał, wcisnął się do niego przez garderobę. Nie była to godzina, w której się zwykle księciu meldował nadworny artysta; zobaczywszy go -w progu, wojewoda dorozumiał się, że coś pilnego sprowadziło go i dał znak ręką, aby się zbliżył.

Estko dał do zrozumienia, iż przy służbie mówić sobie nie życzył, odprawiono więc ją i malarz przystąpił, poczynając od ucałowania ramienia pańskiego.

— Mości książę, — odezwał się pośpiesznie — jeżeli wasza książęca mość chcesz królowi uczynić miłą siurpryzę, a pamięć jego odwiedzin uwiecznić, choć czasu jest bardzo omal, ja z mojemi pendzlami na usługi... dzień i noc gotówem pracować.

— Gdzie? Co? — spytał książę.

— Bez jakiegoś alegorycznego obrazu nie może się obejść, — ciągnął dalej Estko — w wielkiej sali sufit czysty, ogromny, jest się na czym popisać. Jakby miejsce to czekało.

— Człowiecze! Ale gdzież ty w tak krótkim czasie, panie-kochanku, możesz temu podołać? Słyszałem zawsze, że na to lat potrzeba.

— Jak komu! — odparł malarz śmiało, zacierając czuprynę — ja się obowiązuję być gotowym i cały sufit ubiorę w alegoryą *ad hoc*. Nie może być, ażeby się ta atencja królowi nie podobała.

Skrzywił się książę wojewoda.

— A to ty mi sale zawalisz rusztowaniami, i — dalipan jeszcześ gotów nie dojść do końca przed terminem.

— Szyję moję stawię — przerwał Estko.

— A co mnie po twojej szyi. Szyjki tylko u raków dobre, — rzekł książę i zadumał się — ale, może masz słusność, namalować mu coś potrzeba, a spodziewam się, że ty się nie poszkapisz. Farby sobie sprowadź co najlepsze, na to nie pożałuję ; ale nim co do czego przyjdzie, — dokończył wojewoda — potrzeba dobrze strutynować, co i jak się wykonterfaktuje, aby finfy w tem nie było; oni podejrzliwemi oczyma na wszystko patrzeć będą. Ciebie jednego nie dosyć, a ja głowy już nie

mam, tak mi ją rozbito temi programami, które Bernatowicz codzien pisze i maże. Zbiorę więc dziś konsylium i postanowimy.

— Ale niechże książe łaskaw będzie — podchwycił Estko — mnie kazać przywołać. Beze mnie się nie może obejść, a ja już mam ideę.

— Nasmarujże ty tę swoją ideę na papierze — odparł książe — i przynieś z sobą, albo... nie! Panie - kochanku, najprzód przyjdź bez idei... nie wypada, abys ty ją nam narzucał. A cóż ty tam myślisz malować?

Estko się zadumał, usta zagryzając.

— To się okaże, mości książe, — rzekł — muszę też dobrze rozważyć.

— Patrz, aby Radziwiłłów niezbyt upokorzyć, a króla do zbytku nie wynosić.

— Ale to już pewna, że sufit malować będziemy? — zapytał Estko niespokojny.

— Ja bo o tem od początku myślałem, — przerwał wojewoda — tylko mi się zdawało, że ty temu nie wydołasz w tak krótkim terminie!

— Choćbym na rusztowaniu trupem padł! — krzyknął w uniesieniu Estko. — Zatem, nie tracąc czasu, każę rusztowanie gotować.

— A każ... powiedz zaraz Fryczyńskiemu — zawołał książe — drabin na zamku dosyć jest, desek się znajdzie ile trzeba.

Rzucił się Estko jak z procy, natychmiast biegnąc do marszałka, tymczasem książe wstał i po krótkiej modlitwie do śniadania się miał zabierać, gdy wszedł Morawski.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Jakże się księciu spało?

— A! Już ty mnie teraz nie pytaj — westchnął wojewoda. — Dopókiż te gody nie miną, a Najjaśniejszy Pan nie będzie za bramą, ja spoczynku nie zaznam. Wszystko potrzeba obmyśleć, a z was nikt mnie nie wyręczy.

Westchnął.

— Ot naprzykład — dodał — żeby mi który z was podszeptał, że przecież trzeba królowi coś namalować, aby pamięć jego odwiedzin uwiecznić! He? Widzisz? Choćby potem to ścierkami przyszło zmywać, pomnik ten mu teraz musimy wysmarować. A od czegoż ja Estkę płacę? Nieprawdaż, panie-kochanku? W wielkiej sali sufit, jak olbrzymie prześcieradło, pomieści się na nim król i ja, i wy wszyscy...

— Ale, mości książę, — wtrącił nieśmiało generał — mnie się zdaje, że na sufit tylko gieniusze, bóstwa, chmury i t. p. pasują...

— Daj pokój — my to rozbierzemy na konsylium jeneralnem, — przerwał książę — ty panie-kochanku na tem się nie znasz, trzeba nam do porady ks. Kantembrynka wezwać i innych, a sprawa pilna. Sufit być musi malowany, panie kochanku. Co mi Estko za farby policzy! Panu Bogu wiadomo, bo tu ladajakiemi malować nie można...

Nastąpiło westchnienie.

— Moją kieszeń wycieńczoną takżeby należało odmalować, *propter aeternam memoriam rei* — rzekł książę.

Generał ramionami poruszył.

Przed południem zebrało się konsylium gabinetowe. Wchodzili do niego: książę Hieronim, który bratu potakiwał, a nikomu nie wadził, Morawski, Bernatowicz, Fryczyński i przybyły dnia tego prezydent Seweryn Rzewuski. Zagaił najprzód sam wojewoda, dowodząc potrzeby odmalowania czegoś na suficie; przyczem zaraz Bernatowicz i Fryczyński wyrazili powątpiewanie, czy się to uda w tak krótkim czasie przyprowadzić do skutku.

— To już, panie-kochanku, Estki rzecz, — odezwał się książę — przedewszystkiem potrzeba myśleć, co mamy konterfektować.

Seweryn Rzewuski, jak cała rodzina dowcipny i złośliwy, odezwał się pierwszy, z pozorną powagą.

— Ale to najłatwiejsza rzecz w świecie! Z jednej strony, historia domu Radziwiłłowskiego, trąby sławy nad nią, z drugiej, dzieje rodziny Poniatowskich, ponad niemi zaś, z pozwoleniem, cielę, ogon zadarłszy... Wszyscy śmiechem parsknęli.

— Sewerynie, panie-kochanku, — ofuknął książę — daj pokój, rzecz seryo.

Rzewuski siadł.

— Słucham tedy — szepnął — co powie generał?

— Ja? Nie powiem nic! Nie rozumiem się na alegoryach, ani na malowaniu...

Książę się zadumał i zmarszczył.

— Ja wam powiem, że tyle tylko wiem, iż muszą być gieniusze z gołemi nogami i skrzydłami, chmury, jakaś bogini albo naga lub niewiele ubrana, *tandem* i ołtarz, bo się musi palić ofiara, a ja najlepiej czuję, że ofiara będzie gruba i na popiół się dużo obróci. *Tandem*, myślcie co więcej.

— Co my tu mamy wodę warzyć! — przerwał generał — rzecz prosta. Posłać po Estkę. Niechaj on obmyśli, co malować ma, a książę zaopiniuje, czy rzecz przystała lub nie.



Książę dał znak Fryczyńskiemu, który wyszedł i po Estkę pokojowego wyprawił. Malarz czekał już na to. Nie wypadło mu tylko z ry- sunkiem przychodzić, aby inicjatywy nie zdradzić, którą książę chciał przy sobie zostawić. Ubrał się zawczasu w kontusz niedzielny i spinkę turkusową pod szyję przypiął, nie zapominając o sygnecie z krwawnikiem na palcu, gdyż, jako artysta, szlachectwo swe tem wyżej nosił, im go powołanie bliżej rękodzielników stawilo. Estko, w pewnem oddaleniu, zatrzymał się między progiem a stołem.

Rzewuski, który go znał i nielitościwie sobie z niego żartował, przezywając go Estko-Fapresto, w niewielu słowach opowiedział mu,

O co chodziło.

Dano mu chwilę do namysłu — poczem artysta rozpoczął najprzód od tego, iż podobne alegorye mają swe reguły, których trzymać się potrzeba.

— Musimy mieć jednak na względzie, — ciągnął potem dalej — iż czasu mamy mało a sufitu dużo, a kiedy malować, to go trzeba przecież cały okryć malowaniem.

— A chmury? — wtrącił Rzewuski — przecież to dla ciebie doskonała rzecz; gdzie nie będziesz miał co postawić, palniesz obłok

i kwita.

Estko głową pokręcił.

— Jużci się bez nich nie obejdzie, — rzekł z powagą — ale nadto ich nie można nawieszać.

— Pewno, że nie, panie-kochanku — wtrącił książę. — Chmury zawsze podejrzane, pomyśli kto, że my Najjaśniejszemu Panu gradobiciem grozimy.

Rozśmiał się Rzewuski. Estko tymczasem ośmielił się i głos podniósł.

— Mnie się zdaje, — począł — że tu główną rzeczą będzie konterfekt Najjaśniejszego Pana w ramach, utrzymywany przez dwa gieniusze.

— Aż dwa? — spytał Rzewuski. Artysta się nieco uraził.

— Choćby dla symetrii dwa być muszą — odparł trochę szorstko. — Gieniusz cnoty i mądrości.

— Brawo! — przyklasnął Rzewuski.

— Gieniusze u góry trzymać będą nad nim koronę — dodał Estko.

— Pamiętaj, że jeden z nich powinien być podobnym do tej, która mu na skroń włożyła koronę — szepnął Rzewuski.

— Panie-kochanku! *Veto!* — krzyknął wojewoda — dopieroby złośliwi ludzie z tego asumpt

wzięli do żartów. Na miłość Boga, bodaj wąsy obu gieniuszom namaluj, byle tylko nie były podobne do nikogo... rozumiesz? Estko głową dał znać, iż rozumiał i chciał być posłusznym.

— Dalej co? — zapytał Rzewuski. Artysta odchrząknął.

— Myślę w postaci poważnej, sędziwej niewiasty wyrazić ordynacją nieświeską, stojącą przy ołtarzu...

— No — tak, bez ołtarza nie może być — zamruczał książe — mówiłem.

— I palącą na ofiary serca skrzydlate, wzbijające się ku wizerunkowi — kończył malarz.

Pan Seweryn usta sobie dłonią zasłonił, aby uśmiechu nie zdradzić.

— Bardzo ładnie — rzekł, strojąc twarz poważną — ale zważ Waćpan, że ona poczciwe te serca, które lecieć chcą, pali i niszczy... gotowi powiedziec niechętnie, że to na złość czyni, aby ich nie puścić ku panu?

Estko się obraził.

— Inaczej alegorycznie tego wyrazić niepodobna — rzekł kwaśno. — Czy się one będą wzbijały — o to mniejsza, główna, iż serca palić się muszą.

— Ale tak, panie-kochanku — dodał książe — serca malowane niech się palą.

— I więcej nic? — zapytał Morawski. — Będziesz musiał bardzo dużo chmur nagromadzić chyba.

— Chciałem niżej jeszcze w ostatniej kondygnacyi postawić Gieniusz książęcy radziwiłłowski, w postaci rycerskiej, odganiający mieczem zazdrość.

Rzewuski nie mógł się już wstrzymać od śmiechu, ale oklaskiem go starał się naprawić.

— Słowo daję, — rzekł — Estko natchniony i co za bogactwo wyobraźni...

— A dajże ty mi pokój, — krzyknął książe — weź sobie Hieronima albo krajczego, ale mnie nie tykaj. Ja w obłokach z moim brzuchem zacięję.

Estko zmilczał.

— Jeżeli miejsca stanie, — dołożył po chwili, napróżno czekając, aby się kto odezwał — można u dołu, jako datę miesiąca, zawiesić wagę, gdyż słońce w ten znak wstępuje, a oprócz tego waga wyraża Sprawiedliwość, która się tem daje eksplikować, iż król naostatek oddał ją domowi książęcemu — uszanowanie mu swe wyrażając odwiedzinami!

— Bardzo trafnie i pięknie — wtrącił Morawski.

— No, cóż ichmość na to, panie-kochanku? — dodał książę. — U góry wizerunek Najjaśniejszego Pana i dwa gieniusze, które go wieńczą, będzie z niego, niżej ordynacya pałaca serca; ale pamiętaj, aby ich tam było dosyć, naostatek rycerz ze starą babą. Mnie tylko jedna rzecz razi (obrócił się do Estki): na suficie będą dwa gieniusze w średnim wieku, bo cnota i mądrość nie mogą być smarkate, panie-kochanku; dalej jedna niewiasta sędziwa, poprostu baba, a niżej zazdrość też niemłoda i nieładna. Cały więc sufit ze staremi, gdy wiadomo, iż król młode lubi... a i my wszyscy szanujemy, panie - kochanku, wenerujemy wiek sędziwy, ale weselej nam patrzeć na młode.

Rzewuski za tę uwagę trafną poszedł aż księcia uściskać.

— Nic sprawiedliwszego, — rzekł — lecz trzeba mieć na względzie" że Estce daleko będzie łatwiej malować stare baby, niż młode... i brzydkie, niż piękne.

— A jeszcze, mości dobrodzieju, — zamruczał Fryczyński — jakby na modelusze zażądał młodych, mogłoby z tego wyniknąć co...

Śmiechem mu przerwano, artysta się zachmurzył, iż go tak żartami zbywano.

— Ja lepszego nic wymyśleć nie potrafię — odezwał się, cofając parę kroków.

— Niech maluje, jak projektuje, — rzekł wojewoda — mnie się widzi, że to ujdzie. Nimbyśmy co lepszego obmyślili, czasby zszedł na tem, a Estceby cudze pomysły nie były do smaku, zatem dajmy mu confirmacyą i — niech poczyna w imię Boże, panie-kochanku! Wszyscy spoglądali po sobie.

— Ja cię tylko proszę, mój Estko, — dodał wojewoda — ażebyś mi żadnych portretów, oprócz Najjaśniejszego Pana, nie malował i niczyich podobieństw tam nie mieścił, bo z tego tylko gadaniny będą i szyderstwa. Zazdrość możesz zrobić szkaradną, ale unikaj, aby się która do niej przyznała z sąsiadek.

— Nie skorzystałeś z trąb radziwiłłowskich, — zaśmiał się Rzewuski — a toć przecie atrybut sławy. Możebyś po czterech rogach palnął jeszcze aniołów, światu głoszących.

Estko o swój program był zazdrosny i nie chciał dopuścić, aby mu co do niego dodano.

— Daj Boże, abym i to, co konieczne zdążył w porę skończyć, — zawołał — cztery anioły niemała rzecz, ja się tego nie podejmuję, a pomocnika nie mam żadnego, krom tego, co mi farby uciera. Sam wszystko będę musiał malować, nawet obłoki — słowo daję.

— Ale też sam z tego mieć będziesz chwałę

i Najjaśniejszy Pan ci pewnie podziękuje — dodał Rzewuski.

Księżciu pilno było dokończyć naradę w tym przedmiocie, obejrzał się po zgromadzonych.

— Więc cóż, zgoda? — zapytał.

— Ja tam nie wiem, — rzekł Morawski — czy tak naprędcie, bez namysłu, rezolwować się godzi.

— Ale tu ani godziny niema do stracenia, — począł Estko — później ja się nie podejmę. Pan generał myśli, że takie malowidło można z palca wyłamać... Insi malarze lata nad podobnemi trawili, a tu w parę tygodni gotów być muszę i reputacyi sobie popsuć nie mogę.

— Smaruj już, smaruj, jakieś sam obmyślił! — westchnął książę. — A pamiętaj o tem, że tu królewskie te czwartaki mądre, Naruszewicze, Trembeccy, będą trutynowali i krytykowali i nie twoja, ale moja skóra za to pokutować ma.

— A, mości książę, — wtrącił artysta, rękę kładnąc na piersi — skrupi się to na Estce.

— A tybyś wolał, aby na mnie się skrupiło, panie-kochanku? — westchnął książę. — Dziękuję!

Rozprawy tedy na tem się skończyły i Estko tylko domagał się, aby natychmiast mu rusztowanie gotowano. Pełen zapału, wycofał się za drzwi gabinetu, pot ocierając z czoła, pod którem teraz myśli mu się w najjaskrawsze barwy poprzystrajane kręciły.

Spodziewał się i pewien był tryumfu. Król sam się łatwo mógł domyśleć, w jak krótkim czasie malowidło to powstało, i ocenić je musiał. Pierścień z cyfrą Najjaśniejszego Pana obiecywał sobie napewno.

\* \* \*

Historja owej alegoryi na suficie wielkiej sali była tylko cząsteczką trosk tych i niepokojów, jakie księcia wojewodę otoczyły i do ostatka go już opuścić nie miały. W duszy jego walczyły ciągle z sobą ochota wystąpienia i pokusa zrobienia jakiego figła, którego książę finfą nazywał. Zmuszony szanować ekonomczuka, wojewoda nie mógł go znieść i zazdrościł mu. Lękał się razem i nieledwie pragnął, aby wśród tych owacyj coś przypomniało Poniatowskiemu skromne jego pochodzenie. We włoskich bowiem Vitelionów, świeżo przyklepionych do genealogii, nikt nie wierzył.

Dziwna rzecz, iż gdy o tem przemyślał książę, nie przypomniął sobie, że na dworze swym miał przy stajniach Poniatowskiego. Nikomu też, oprócz Szerejki, nie przyszło na pamięć nazwisko, przed paru latami przyjętego Rusina.

Nie przesadzał książę, mówiąc, że spać ani jeść nie mógł, tak się kłopotał o to przyjęcie a powinien był dodać, że i pić nawet nie umiał teraz, a pił bez animuszu zwykłego, i dziwaczne historye, któremi siebie i drugich zwykł był zabawiać dawniej, teraz mu się nie kleiły. Zaledwie coś rozpoczynał, marszczył się i milknął nagle. Wszystko to, co on i drudzy wymyślili, nie starczyło; chciał czegoś więcej i inwencyj jakichś niebywałych, osobliwych, którychby nigdy nikt naśladować nie mógł.

Troskę tę księcia, która mu humor odejmowała, dzieliła rodzina, przyjaciele i domownicy.

Pomysł Estki, chociaż przychodził w porę i był pożądanym, nie miał w oczach niczych znaczenia takiego, aby za wszystko zapłacił.

Z drugiej strony, niemałym kłopotem dla otaczających księcia było, aby się, wysilając na ekstraordynaryjne pomysły, nie stał śmiesznym; Seweryn Rzewuski szczególnie się tego obawiał. Wiedział on dobrze, jak dowcipnisie królewskiego dworu, sam król, kobiety jego wyśmiewały księcia Panie-kochanku i starały go się wystawić, jako miłkiego umysłu prostaka, nie mającego ani wykwintnego smaku, ani obyczaju europejskiego. Koncepty nadzwyczajne wojewody bardzo łatwo mogły go na pośmiewisko narazić. Ze dworu króla płynęły korespondencje do gazet holenderskich i paryskich; łatwo w nich mogli pismaki pochwycić stronę śmieszna tych popisów bogacza i dumnego pana. Rzewuski stał jak na straży, aby od wybryku jakiegoś uchronić.

Tymczasem wszystko to, co dotąd Radziwiłł wymyślił, co mu poddano, nie zaspokajało go i nie starczyło.

— Co mi tam, panie-kochanku, — wzdychał codziennie wieczorem — to są wszystko rzeczy oklepane, stare, a jabym mu tu chciał coś takiego pokazać, czego on ani nikt nigdy jeszcze nie widział.

— Jak mu książę skarbiec pokażesz, — oponował Rzewuski — to dosyć, takiego on nie widział pewnie nigdy... a cegły złote z herbami radziwiłłowskiemi, niechajże z nich kto zda resztę?

Książę rękami poruszał, jakby muchy opędzał; wszystko to nie starczyło. Męczył się widocznie.

Naostatek, nazajutrz po naradzie o suficie, dzień zaledwie świtał, a książę, z wyjątkiem gdy był na polowaniu, często długo zrana zasypiał, tym razem zaś obudził się, wrzawę ogromną zrobił wołaniem na pokojowców i jednego z nich posłał po pana Seweryna Rzewuskiego, który wysypiał się jeszcze w najlepsze.

Przebudzony, nie mógł zrazu się opamiętać, co się stało, poco mu o tej godzinie zrywać się kazano, ale naprędce się przyodziawszy, mrużąc, pośpieszył do wojewody.

Znalazł go na ogromnym łożu z pawilonem, wyobrażającym paludament książęcy z koroną w górze, z bukietami piór strusich po rogach, niespokojnie się przewracającego, tak, że kołdry i okrywki z nóg i z siebie na ziemię pozzucał.

— Co księciu jest? — zawołał, wpadając do sypialni Rzewuski. — Czy nie chory?

— Ale gdzie tam, gdzie tam, panie - kochanku! — począł wojewoda, wychylając się z łożka i sapiąc. Chciałem ci się pochwalić.

Uderzył w dłoń.

— Oto, panie-kochanku! Mam! Mam! Znalazłem! Teraz mogę powiedzieć już, że im pokażę taką rzecz, jakiej nie widzieli i nie zobaczą.

Rzewuski, zrezygnowany, ale smutny, siadł słuchać; był pewien jakiegoś wybryku i w duszy Pana

Boga prosił, aby mógł salwować krewnego od szyderstw, uchować go od wyśmiewań.

Na księciu widać było poruszenie nadzwyczajne, a razem radość wielką. Cały się z łóżka wychylił ku panu Sewerynowi.

— Słuchaj tylko! Ja mu pokażę... wiesz co? Wiesz?.. wzięcie Gibraltaru przez Anglików, rozumie się imaginacyjne.

Książę, patrząc w oczy Rzewuskiemu z miną zwycięską, śmiać się począł.

— Rozumiesz, wzięcie Gibraltaru! Wistocie trudno było domyśleć się, jakim sposobem w Nieświeżu, wyjąwszy na teatrze, mogło być reprezentowane owo zdobycie Gibraltaru.

Wojewoda tymczasem z radością niemal dziecinną powtarzał:

— Panie-kochanku, wzięcie Gibraltaru! Uderzył się w piersi ogromną, jakby nabrzękłą, pięścią.

— Wzięcie Gibraltaru!

Poruszył głową Rzewuski, oczekując jaśniejszego tłumaczenia.

Wiadomą była oddawna wszystkim, szczególnie albeńczykom, ta fantazyja książęca bawienia się flotą i marynarką po kanałach, umyślnie na ten cel kopanych. Budowano na stawach nieświeskich statki w kształcie okrętów, galery, rozmaitego rodzaju czółna i barki, które flotę albeńską i nieświeską stanowiły. Marynarka ta, rzecz dziwaczna aż do dzieciństwa, niekiedy księcia tak zajmowała gorąco, że dla niej nawet o łowach ulubionych zapominał. Kto mu się chciał przypodobać, przynosił rysunek jakiejś ambarkacyi szczególnej, a wojewoda na skalę możliwą kazał go wykonywać. Tych statków z masztami, rejami, żaglami, z działami na pokładach, stało na stawie dosyć. Księcia czasem napadała ochota dowodzenia flotą i ubierał się, jak mówił, poadmiralsku, siadał na statek, kazał pływać, z dział ślepemi ładunkami waląc na wszystkie strony.

Rzewuski domyślił się, że Gibraltar z flotą być musiał w jakimś związku i przykro mu się zrobiło. Śmieszność stawała się nieuniknioną. Książę tak był myślą swą przejęty, że nie postrzegł zmiany na twarzy Rzewuskiego i mówił dalej z ogromnym zapałem.

— Wystawi się na stawie z desek i płótna, panie-kochanku, twierdza Gibraltar imaginacyjnie; okręty będą podpływały i bombardowały ją; z dział z obu stron walić. Naostatek wysadzimy w powietrze kilka statków. Powiadam ci, panie-kochanku, to będzie *spectaculum* niewidziane, niesłychane, niepraktykowane.

Zadyszał się aż, mówiąc książę, oczy mu latały świecące, usta się śmiały. — A cóż! A co! Powtarzał, ciągnąc za rękaw Rzewuskiego — co mówisz?

Sprzeciwić się takiemu wybuchowi nie było sposobu, pan Seweryn spuścił oczy, zamilkł i szepnął

poczekawszy.

— Ale, mości książe, to będzie trudne do wykonania, a jak się nic uda, żeby na śmiech nie naraziło.

— Jakto! Na śmiech! Ba! — krzyknął książe, — drzeć będą, ogniem zapłonie cały Nieśwież, zobaczysz! Gibraltar zaraz dziś każe zacząć budować, statki wszystkie postawić na stopie wojennej, działa na nic powtaczać. Zobaczysz, to będzie widowisko, jakiego świat i korona polska nie oglądała, ja ci powiadam, panie-kochanku. Rzewuski pomyślał sobie tylko.

— Ale pocóż mnie tu było budzić? Książe wyglądał aprobaty, której się nie mógł doczekać.

— No, cóż ty mówisz, panie-kochanku? Król zgłupieje na ten widok! He! Począł śmiejąc się. Ja prochu nie pożałuję.

Pan Seweryn zebrać się wkońcu musiał na pochwałę.

— Rzecz bezwątpienia będzie osobliwa, — zamruczał, — bardzo osobliwa, byle się tylko udała. — Musi się udać, mam fajerwerkiem w, artyleryą, mam majtków, marynarz, sterników; flota wystąpi okazale. Tego ani w Warszawie, ani nigdzie król nie zobaczy, a ja pokażę moją potęgę, kreując flotę, można powiedzieć, z niczego, bo to wszystko ja stworzyłem. Czuję, że, gdybym nie był wojewodą wileńskim, to mnie było admirałem zostać. Jechać na Maltę i... Mam pasya do marynarki.

Smutnie głowę zwiesił Rzewuski, gdyż żadnych uwag sobie książe czynićby był nie dał, sprzeciwić mu się było napróżno; śmieszność stawała się nieuchronną, chociaż owę fantazya gibraltarską łatwo było przezwać fajerwerkiem i tem ją — jako tako wytłómaczyć. Wojewodzie zaś pomysł zdobywania Gibraltaru na stawie nieświeskim wydawał się tak wielkim, tak pięknym, że w uniesieniu nie mógł się wstrzymać i poskromić.

— Ale tu niema co, panie-kochanku, zwłoczyć i na półmiski rozkładać, — zawołał — wnet trzeba, żeby się wzięto do roboty.

Niespokojny dzwonić począł, wołając, aby mu, pomimo rannej pory, natychmiast przysłano osoby, które bezładnie jedne po drugich wymieniał. Rzewuskiemu żal się go zrobiło.

— Mości książe, — odezwał się — najlepiej komu jednemu dowództwo nad tym Gibraltarem powierzyć, inaczej, ładu nie będzie.

— Ba! Ale komu? Komu! — westchnął wojewoda.

Co dalej nastąpiło ani opisywać się daje, aniby ktokolwiek spamiętał. Z powodu Gibraltaru zamieszanie się wszczęło takie, bieganina, stukanie drzwiami, krzyżowanie się posłańców po zamku, w podwórzach, w korytarzach, a naostatek taki chaos, tyle nieporozumień i sporów, iż Fryczyński całej swej użyć musiał władzy, aby jaki taki ład przywrócić. Książe wstał w jednej koszuli z łóżka i w tym stroju dawał posłuchanie; nie było prawie oficjalisty, któryby jakiegoś zlecenia nie otrzymał,

a że się powtarzano i zapomniano, niektórzy najsprzeczniesze rozkazy mieli, a inni waśnili się, bo jedna i taż sama rzecz dwóm naraz była powierzona. Odwoływano się do księcia, który się niecierpliwił i odpędział.

Fryczyński, chociaż zawsze krwi zimnej, powtarzał pocichu.

— Sądny dzień! Sądny dzień!

Pan Seweryn wysunął się z sypialni, poruszając ramionami.

Dodawszy do tego, że Estko już do wielkiej sali rusztowania, kobylice i drabiny kazał wnosić co najprędzej, że muzyka od rana odbywała próby koncertu i opery niedaleko, a mularze zewnątrz kończyli małe reparacye i tynkowania, można sobie wyobrazić, jaki obraz zamek przedstawiał. Toż samo działo się w Albie i droga z zamku do niej tak była wozami, końmi, ludźmi zapchana, że przejechać było ciężko.

Z drugiego końca miasta budowano już wrota tryumfalne, których kościotrup podnosił się ponad dworki pobliskie, a że kilka nędznych chatek bardzo widok szpeciły, kazano się z nich niebożętom zagrodnikom i chałupnikom wynosić i znoszono je, równając z ziemią.

Nie mówimy już o musztrach złotej chorągwi i wojska radziwiłłowskiego, które, mając stanąć obok kawaleryi narodowej, z królem przybywającej, sposobiły się, aby nietylko dotrzymać jej kroku, ale ją zakasować. Gwardye wojewody nie mogły nawet królewskim ustąpić.

Rozumie się, że przy takim ruchu ogólnym, w kasie księcia był też nie mniejszy i co chwila ztąd worki wynoszono na wszystkie strony. Pieniądz się sypał jak plewy...

Wielkiego imienia mały człeczyna, pan Filip od momentu tego, gdy mu niepoczciwy Szerejko myśl poddał prezentowania się królowi, chodził jak pijany. Zalecono mu tajemnicę i miał jak najmocniejsze postanowienie zachowania jej, ale z twarzy przeobrażonej, z wejrzenia, uśmiechu, ruchów i mowy, poznać było łatwo, że Rusin w sobie coś nosił niedającego mu spoczynku.

Chłopak zwykle bardzo spokojny, cichy, bojaźliwy i leniwy nawet trochę, obracał się teraz inaczej i buty nabrał znacznej. Wiadomo, że gdy człowiek w podobnym stanie podburzenia się znajduje, wszystkie jego uczucia i czynności niem się zafarbowują. Poniatowski teraz inaczej nawet owies wydawał i' sieczkę, komenderował w inny sposób. Zdawało się, że od tego dnia, gdy się widział z Szerejką, urosł na cali parę.

Na zamku i w pałacu nieświeskim, chociaż natenczas księżnej nie było, bo książę z małżeńskich związków się wyswobodził i nowych zawierać nie miał ochoty, nie zbywało na bardzo licznym fraucymerze. Oprócz tego, z poddanych jego książęcej mości uformowany balet, liczył pięknych tancerek kilkanaście, doskonale wytresowanych przez dwóch baletmistrzów: Petinetiego i Łojkę. W rozmaitych funkcyach przy garderobie, kawiarni, bieliźnie, przy szatnym, mnóstwo młodszych i starszych dziewcząt się kręciło. Rozmaite były stopnie w tym świecie białogłowskim, podzielonym na kategoryeliczne, ale uboga szlachta przeważała. Ekonomowie i pisarze brali z tego rozsądka różnie wypo- sażane przez księcia panny, a trafiało się, że i biedniejsza szlachta, mali posesyonaci,



ze dworu sobie dobierali małżonki. O fraucymerze tym chodziły odgłosy rozmaite; dwór był dosyć rozpuszczony, ale skandalów wielkich unikano, a szczodrobliwość księcia usta zamykała.

Filip w początkach, przybywszy na dwór, ani męskich, ani kobiecych znajomości nie miał; nieśmiały, bojaźliwy, unikał ich długo, lecz, choć powierzchowność miał niepowabną i wyglądał ubogo, wkońcu, rad nic rad, spotykając ciągle panny, czasem im małe zmuszony czynić posługi, musiał się poznać ze śmielszemi. Do tych należała panna Monika Czackiewiczówna, której tytuł Ciwunównej dawano.

Panna była może o lat parę starszą od Filipa, ale bardzo ładna i świeża, a śmiała i rezolutna jak żadna. Wychowana na dworze, znająca doskonale wszystkich i słabości każdego, obracała się tu ze swobodą wielką. Dlaczego jej skromny i niepozorny pan Filip wpadł w oko — trudno wytłómaczyć, właśnie może prawem kontrastu, gdyż nieśmiałym był tak, jak ona aż do zuchwalstwa odważną. Zdaje się, że ona pierwsza zbliżyła się, zapoznała i ośmieliła Poniatowskiego, nie spuszczając go już z oka i opiekując się nim widocznie. Filip był jej niezmiernie wdzięcznym i naturalnie zakochać się musiał, bo panna Monika była zalotną, a na wdziękach jej nie zbywało. Powiadano o kilku już, co się z nią żenić chcieli i mieli, ale zawsze wkońcu jakoś małżeństwa się te rozchwiały.

Filipowi o ożenku ani było myśleć, ale nie mógł, pomimo to, obojętnym być na wdzięki Monisi. Zobaczywszy ją zdaleka stojącą w ganku, albo w ogrodzie, biegł Rusin co tchu, aby ją choć powitać, uklonić się i słowo jakie powiedzieć. Nie miał dla niej tajemnic, a gdyby nawet chciał, nie potrafiłby być ich utrzymać, tak zręcznie je z niego wydobywać umiała. Było jej wierny sługa, którego w najrozmaitszy sposób używała, gdzie i jak jej było potrzeba.

Po konferencji z Szerejką, pierwsza myśl, jaka przyszła Poniatowskiemu, była — zwierzyć się i poradzić panny Moniki, ale tak mu polecił nie wydawać się z tem Szerejko, tak się Filip lękał, aby mu co szyków nie pomieszało; wostatku przypomniał sobie, że kobiety bywają długojęzyczne, i postanowił milczeć.

Z tem postanowieniem potrzeba było unikać spotkania się z panną Moniką, bo sam on wiedział, że mu z twarzy wyczyta, iż coś tai, a potem łatwiuteńko go zmusi do spowiedzi. Powiedział więc sobie, że będzie unikał panny i obchodził ją ile możności, chociaż było mu z tem bardzo tęskno.

Prostoduszne stworzenie, Filip, pochlebiał sobie, że potrafi z sobą uczynić, co zechce, nie wątpił bynajmniej, że postanowiwszy zniknąć z oczów Monisi, spełni, co sobie powiedział. Jakoż przez dni parę nie pokazywał się ani w ogrodzie, ani w podwórzu, gdzieby się z nią musiał spotykać. Zaczynało mu być nudno; pocieszał się tem, że dla wielkiego celu trzeba umieć przecierpieć, a nie mogło to przecież trwać wiekuiście.

Panna Monika, którą miała pewne rachuby na naiwnego Rusina, nie życzyła sobie, aby dla niej zubożniał. Trzeciego dnia zaczęła dopytywać, czy nie chory? Odpowiedziano jej, że tylko około przyjmowania obroków był zajęty.

Ale wieczorami nie przywożono ich; cóż więc znaczyło, że nie przychodził?

Gniewało ją to. Nie kochała się w nim wcale, ale z jej rachub wypadało, że na przyszłego

małżonka bardzo się jej wydawał przyzwoitym. Stręczyli się inni, ale tych nie życzyła sobie, bo nie myślała pójść pod panowanie niczyje, ale sama chciała być panią. Miała łaski u jenerałowej, u księcia, pewną była wyposażenia i kondycji. Filip był pracowity, spokojny... resztę ona sobie z niego zrobić obiecywała.

Nazwisko wcale ją nie uderzało i nie miało znaczenia dla niej, nie rachowała nigdy na nie, tylko na protekcją książęcą. Zgadnąć więc niepodobna jej było, co Filipa oddalało!

Czwartego dnia już tak była niespokojną, że pod pozorem jakiegoś polecenia, posłała pokojowca, aby Rusin się stawił do niej.

Czekała na niego w ganku, za boki się wzięwszy, zagniewana na niewdzięcznego. Filip, gdy mu dano znać, mocno się zmieszał, ale odmówić nie mógł. Złożył rejestry i pobiegł.

Panna Monika zdaleka mu już groziła.

— Co się z Waćpanem dzieje? — zawołała. — Trzeci dzień się na oczy mi nie pokazałeś! Cóż się to ma znaczyć?

Filip drżący całował jej rękę.

— Jak Boga mego kocham, — począł żywo — żeby panna Monika wiedziała, co ja teraz mam za robotę! Przez wierzch głowy! Dzień i noc! Ani tchnąć!

— At! At! Co mi tam waćpan prawisz! — przerwała piękna panna — wy wszyscy tacy! Już gdzieś nowe sitko...

— Gdzie mnie o jakim sitku myśleć! —

jęknął Poniatowski. — Ja zjeść obiadu nie mam czasu.

— Panna ruszyła ramionami, ale złagodniała.

— Nie trzeba przezto głowy tracić, — rzekła — a swoją drogą nie zapominać o tych, co dobrze życzą. Myślałam już, że chory jesteś.

— Jabym i na chorobę czasu nie miał. Skaczy wraże, niema rady! — odezwał się Filip.

— Przyjdź Waćpan wieczorem do ogrodu — szepnęła, — widząc nadchodzących, i znikła.

Wieczorem musiał się stawić Filip i panna go wzięła na spytki, ale się nie zdradził z niczem. Rozmawiała go jeszcze bardziej, niż był, lecz, że się ani domyślała sprawy, którą taił przed nią, nie badała go nawet. Przekonała się, że nie ostygł — o to jej chodziło.

Filip też uspokoił się, iż nie będzie pociągany do wyznań i niema niebezpieczeństwa, więc podawnemu obiecał się stawić po rozkazy. Monisia go do małych usług używała.

Nikt też ze dworu, choć dawniej go czasem tem nazwiskiem Poniatowskiego prześladowano i przedrwiwano je, teraz nie zdawał się go sobie przypominać nawet.

Szerejko tylko podsuwał się czasami, aby mu ducha poddać i przekonać się, że nie stchórzy. Jemu chodziło o to wielce, ażeby się i król "spycił", jak się on wyrażał, i książę "zdetonował" i owe tryumfy i oklaski choć maleńką finfą się ukoronowały. Spłatać figla tym wielkościom, do których miał ząb okrutny, było dla niego nieopłaconą rozkoszą. Szerejko nie był w gruncie złym, ale teorye wieku, rozmaite lektury dla niego niestrawne, zrobiły go demagogiem namiętnym. Nie mogąc tym, tak zwanym tyranom uczynić nic, przynajmniej małego psikusa rad był wyrządzić, który zresztą nikomu nic złego uczynić nie mógł. Księcia był pewien, że choć napozór się zagniewa, pocichu potem śmiać się będzie. Filipowi zawsze się coś upiec musiało; co się tyczy króla, choćby się i skrzywił... Żył w atmosferze, w której go nie lubiano, a nasłuchiwał się przeciwko niemu niestworzonych rzeczy.

Razem z Filipem teraz w tajemnicy wielkiej redagowali prośbę do króla, którą przy ustnem zalecaniu się miał Filip wręczyć Najjaśniejszemu Panu, aby zapomnianym nie był. Rusin rejestry jako tako jeszcze utrzymywał, ale w pisaniu petycyi pokazał się tak niezręcznym, że Szerejko musiał mu ją sam całą podyktować. Strzegł się tylko pisać, aby potem nie być pociągniętym do odpowiedzialności. Na suficie w wielkiej sali, Estko, obwarowawszy się starami prześcieradłami od oczu ciekawych, gdyż nie mógł cierpieć, aby bez pozwolenia podglądano, rysował już gieniusze cnoty i mądrości, o których godła musiał się aż z ks. Kantembrynką radzić.

Przekonywał się teraz, przystępując do dzieła, że zadanie było trudne i niewdzięczne. Cnota nie mogła być bardzo młodą, mądrość tem mniej. Żadnej pięknej twarzy, żadnego ideału nie mógł na suficie umieścić!

Co chwila się o jakąś nieprzewidzianą trudność rozbijał. Chwilami ogarniało go zwątpienie, wzdychał i mówił sobie:

— Potrzeba ci było wystąpić z tym popisem, z którego tylko zgryzoty wyrosną, krytyki, zazdrości, a książę w dodatku nie zapłaci za twardą pracę!

Niemal temiz samemi myślami trapiiony był książę, który żałował teraz, że się dał nakłonić do przyjmowania króla. Pochlebiało mu wprawdzie sprezentowanie skarbcza, archiwum, złotej chorągwi ordynackiej, a może nawet i swojego pomysłu zdobycia Gibraltaru, ale obok tego, ile trosk i zgryzot, wydatków, a nieprzewidzianych następstw. Chwilami odżywała w nim stara niechęć do ekonomczuka, któremu chciał dać uczuć, jakim on był małym przy Radziwille, to się lękał, aby go zbyt nie podrażnił. Wielką miał ochotę ukąsić, trudno mu się nawet było wstrzymać od tego, ale potrzeba było delikatnie go drasnąć.

Myśli przychodziły różne. Prawie codziennie rano przywoływał pana Seweryna i pocichu mu komunikował, co w nocy do głowy przyszło. Rzewuski najczęściej odradzał.

— Dosyć mu książę tem krwi napsujesz, gdy pokażesz, jak jesteś dostatnim, a on nieborak, po uszy w długach siedzi. Pani Krakowska, pani Lubelska, książę ex-podkomorzy, synowcowie, ulubiona siostrzenica marszałkowa — ssą go i piją, nie może im nastarczyć.

— Jużto, panie-kochanku, — mrucał wojewoda — mnie też na ssących nie zbywa.

W kilka dni po obmyśleniu sufitu, rano przybiegł znowu pokojowiec, zapraszając pana Seweryna do księcia jegomości.

— Pewnie coś obmyślał, albo drugi Gibraltar, lub coś podobnego — szepnął Rzewuski.

Zastał księcia z twarzą rozjaśnioną i mocno poruszonego.

— Siadaj, panie - kochanku, — rzekł — teraz dopiero, powiadam ci, coś skomponowałem takiego, że... pogniewać się za to nie może, a wsty- dzić będzie musiał. Słuchaj tylko. Król zawsze *generalissimus* jest wszystkich wojsk... nieprawdaż? Należy mu je sprezentować! He! Więc jakże je ma musztrować? Oczywiście rzecz, siadłszy na koń, jak należy. A on na koniu jeździ, jak pies na płocie i na nieznanego konia nic siądzie za nic. Ja mu mojego araba Palmyra każę wysztyftować z najpiękniejszym dywdykiem, siodłem, rzędem. Rozumiesz mnie. Że nie siądzie, za to ręczę. Doskonała finfa, a nic mi zarzucić nie może. Daj Boże błoto, będzie w pończoszkach i trzewiczkach musiał wystąpić przed szeregi.

I książę śmiał się, usta przyłożywszy do ściśniętego kulaka.

— A co?

— Jeżeli to księciu zrobi przyjemność? — wtrącił Rzewuski.

— A robi, robi — rzekł żywo Radziwiłł — nietylko koń, którego za nim prowadzić każę, ale polowanie, niedźwiedzie. Mam takiego jednego, który wszystkim porządnego strachu napędzi. Jak wściekły bestya.

— Byle się to bezkrwawo skończyło — szepnął Rzewuski.

— No! No! Jużci tam moi oszczepnicy będą.

- Król w Nieświeżu. czuwali, — odparł książę — ale królowi kazać się niedźwiedziami bawić! Hm! Rozumiesz to?

Panie-kochanku przymrużał oczki i uśmiechał się.

— Koń! Hę! Nieprawda! Dobry koncept!

— Dobry — potwierdził pan Seweryn. — Ale jeżeli siądzie, a koniowi fantazyja przyjdzie go rzucić?

— Ale nie siądzie! Ho! Ho! Nie dopuszczą mu jego adjutanci, a gdyby siadł, toć go otoczymy — może się trochę potem na żołądek skarżyć będzie, ale kości mu nie połamiemy.

Każdy taki punkt dosyć urozmaiconego programu podawany był co dzień rozbiorowi. Cztery do sześciu dni miał Stanisław August zabawić w Nieświeżu, na dzień każdy musiano coś innego

obmyślać na rano, po obiedzie i wieczór. Teatr, balet, fajerwerki, polowanie, wycieczka do Zausza, gdzie miała przyjmować jenerałowa Morawska, do Alby, oglądanie zamkowych przepychów i osobliwości, mogły do znużenia zająć wszystkie godziny.

Cały zamek niemal z tego powodu odnawiano. Sprzęty wszystkie obijano i złożono nanowo, obicia na ścianach naciągano świeże; strojono szczególnie apartament królewski. W wielkiej sali, którą pendzel Estki miał wiekopomną przyozdobić alegoryą, wystawiono nawet tron, który znalazł się w spadku po Janie Sobieskim, a drugi dano mu do jego apartamentu.

Urządziwszy parę finf, z których się cieszył książę, bo trochę złośliwości zawsze w nim grało, pilno nakazał wszystkim, poczynając od Fryczyńskiego, aby bez wiadomości księcia samego, nikt się nie śmiał do króla przybliżać, żadnych mu petycyj podawać, niczem mu się naprzykrzać.

— Co ja zrobię, to ja wiem, i w tem będzie pewna miara, — mówił wojewoda — zadam mu pieprzyku, ale nienadto, bo zawsze to gość, choć Poniatowski, ale ta nasza szlachta, panie-kochanku, Szukszty, Pukszty, Rymgajły i Drygajły, którzy do króla, jak i ja anse mają, a nasłuchali się, żem nieraz go wyśmiewał, gotowi sobie pozwolić... od tego wara!

Gdy się tak wszystko przysposabiało, chociaż wojewoda utrzymywał, że tu się bez niego obejść nie będą mogli, wypadło z etykiety, ażeby najprzód na granicy księstwa króla sam powitał, a zarazem go zaprosił. Ostatnich dni sierpnia Stanisław August miał być w Bielsku.

Rozstawiono więc konie i wojewoda, przybrawszy sobie za towarzyszków kasztelana trockiego Platera i szambelana Sobieskiego, puścił się z takim pośpiechem, iż sto kilkadziesiąt mil tam i nazad zrobił w niespełna dni cztery.

Czasu było tak mało, dni tak obrachowane, że chociaż w nocy już dobiegi książę do Bielska, a król się zabierał do spoczynku, Komarzewski i Byszewski nadbiegli zawiadomić go, iż Najjaśniejszy Pan przyjmie księcia wojewodę.

Spodziewano się go też tutaj.

Nadszedł i pan Michał Zaleski, który królowi miał towarzyszyć w oglądaniu kanałów, księcia ulubiony — i ten też zapewnił, że natychmiast przyjętym zostanie.

Królowi nic miłszem być nie mogło, jak pozbyć się co najrychlej Radziwiłła, z którym nie wiedział ani jak, ani co mówić; musiał udawać rubasznego, wesołego, a to mu się nie wiodło.

Dziwnym też był stosunek tych dwóch ludzi w niczem do siebie niepodobnych, należących do dwu zupełnie różnych światów, a gusta mających, jak niebo od ziemi różniące się.

Stanisław Poniatowski, wychowaniec pani Geofrin, należący do najwykwintniejszego towarzystwa europejskiego, grzeczny, gładki, wiecznie odgrywający rolę jakąś, nigdy prawie nieodkrywający myśli swojej, najwyżej ceniący formy i elegancją, uczony, lingwista, erudyta, dowcipniś; słodki i miły, zalotny jak kobieta, nie mógł ani przypaść do smaku, ani się porozumieć bliżej ze starego kroju zawadyką, nawykłym do przodowania wszędzie, rzadko kiedy trzeźwym,

niemierzącym słów wcale, rubasznym aż do zuchwalstwa, a za cały dowcip mającym najfantastyczniejsze wymysły i baśnie.

Nawet dla króla wojewoda się zmienić ani mógł, ani umiał, trzeba go było takim brać, jakim był.

Ale można sobie wyobrazić męczarnię tego wykwintnego dowcipnisa, gdy mu przyszło się dostroić do dziwaczego tonu tego, którego zwano litewskim niedźwiedziem w kółku królewskim.

Dla obu ich było torturą dłuższe obcowanie, a pomimo to Stanisław August, zawsze i dla wszystkich nadzwyczaj uprzejmy, wysilać się musiał na słodycze i pochlebstwa i przyjmować od wojewody takie rzucania w nos kadzielnicą niezgrabne, że się często od śmiechu ledwie, słuchając, wstrzymać było można.

Radziwiłł w początku zawsze bywał nieśmiały, jakby nadąsany, ale natychmiast potem puszczał się w zwykłe swoje wygadywania, w których dowcip zastępowało niezrównane zuchwalstwo wymysłów najdzikszych. Szczęściem zawsze wino, kielich, wiwaty starczyły do ubawienia i zaspokojenia wojewody. Najtrudniej szem zadaniem dla Radziwiłła było wystąpienie z mową, a mowy jeszcze podówczas były niezbędne, nikt i nic od nich uwolnić nie mogło.

Książę miał zapas kilku frazesów, zresztą miewał zawsze u boku swego kogoś, co mu podpowiadał. Tym razem wziął to na siebie Plater, a wszyscy zgodzili się na to, że z powodu spóźnionej godziny, krótkości czasu i t. p., mowa musiała być niedługa.

Zastał w salce oświeconej, już oczekującego Najjaśniejszego Pana z ks. biskupem Naruszewiczem, Chreptowiczem i adjutantami. Jak zawsze w takich razach, król miał na ustach rozwieszony ten uśmiech, który z nich nigdy prawie nie schodził. Wyraz twarzy był pełen rozrzewnienia, jak gdyby czuł się prawdziwie uszczęśliwionym z widzenia tego "najlepszego ze swych przyjaciół".

Dla księcia było niepodobieństwem zdobyć się na tę grę fizyognomii, do której nie był nawykłym, oblókł się tylko w powagę wielką, dokuczliwą i nieprzyjemną, ale szczęściem, niedługo trwać mającą.

Plater się ustawił tak, aby mógł mu podpowiadać i książę wyraził swą radość z oglądania oblicza Najjaśniejszego Pana; powitał go w imieniu obywateli księstwa i województwa swojego, a razem oświadczył, że dom (nie on sam) Radziwiłłów, wdzięczy był królowi swemu, gdyby raczył przyjąć w Nieświeżu gościnę i cokolwiek wypocząć po trudach podróży.

Wszystko to wojewoda, jak za panią matką pacierz wyrecytowawszy, nic bez zająkania, bo się musiał kąsać za język, aby swego "panie-kochanku" nie wciskać co słowo — odetchnął dopiero, gdy Plater zamilkł i wedle umowy, zlekka księcia za wylot pociągnął na znak, że dojechali do końca.

Król, który słuchał, z wyrazem zachwyty na bladej i zmęczonej twarzy, natychmiast począł odpowiadać z serdecznością taką, jak gdyby z domem Radziwiłłów był w najściślejszych, nieprzerwanych stosunkach przyjaźni. Przyjął wdzięcznie zaproszenie, zapewnił, iż szczęśliwym będzie i t. d., i t. d.

Natychmiast po tem urzędowem powitaniu, rozmowa o ton niżej spadła. Król spytał o drogę, wojewoda pochwalił się pośpiechem, z jakim ją odbył i dołożył, że natychmiast musi nazad powracać, aby wesołą nowinę zwiastować domowi swemu. Zapewnił nawet Najjaśniejszego Pana, że w Bielsku spoczywać nie będzie i natychmiast napowrót do Nieświeża pośpieszy. Całe to posłuchanie więc pół godziny nie trwało, i król, najczulej pożegnawszy księcia miłościwem — do widzenia, panie wojewodo! Usunął się do sypialni, a książę z Komarzewskim i Byszewskim wyszedł, zapraszając ich do siebie. Służba książęca tymczasem w domu zajezdny, przed którym stały powozy, przygotowała wieczerzę i napitek, bo wojewoda był spragniony; dzień gorący, a Komarzewski nie wzbraniał się do kielicha dotrzymać placu.

Radziwiłł, zbywszy ciężaru audyencyi, w najlepszym humorze, prawił już niedorzeczności

o podróżach swych, chlubiąc się pośpiechem, z jakim przybył do Bielska i obiecując taksamo powrócić. W izbie, do której weszli, wszystko już stało w gotowości, i wojewoda natychmiast nalać kazał ogromny kielich, z wrytemi na nim trąbami, podnosząc go za zdrowie Najjaśniejszego Pana w ręce jenerała. Komarzewski zaś pośpieszył wnieść, wywzajemniając się — wiwat księcia wojewody i domu Radziwiłłów, który wszyscy spełnili węgrzynem, jak się zdaje, z Nieświeża przywiezionym.

Wino rozjaśniło oblicza i znużonym przywróciło rzeźwość; na stole mięsiwa zimnego

i gorącego, owoców, przysmaków stało mnóstwo; zasiedli wszyscy, a książę o podróżach znowu prawić począł, szczególnie zaś o wycieczce do Tunisu i Maroka, gdzie nigdy w życiu nie był. Przytem wzmiankował, z jakiego naówczas ratował się niebezpieczeństwa, gdyż w pustyni piaskiem była zasypana karawana i tylko przytomności księcia i mieszkom kieszonkowemu winna była swe ocalenie. Wśród opowiadania, kielichy gęsto po sobie następowały. Tymczasem konie do kolebki już zaprzęgano, i wysuszywszy ostatni ąsiorek, książę pożegnał Komarzewskiego, niezwłocznie z powrotem odjeżdżając do Nieświeża...

\* \* \*

W czasie, gdy się to działo, a książę opuścił Nieśwież, gdzie go zastępowali pan Seweryn, ks. Hieronim i jenerałowa Morawska z mężem, Filipek Poniatowski, jak na żarzących węglach siedział, czekając przybycia króla, i upajał się najpiękniejszymi nadziejami.

Zmiana w jego humorze, usposobieniu i sposobie obchodzenia się z panną Moniką, ciągle ją niepokoiła. Czuliła, że coś zaszło, albo się coś gotowało, co przed nią taił Rusin. Postanowiła więc, korzystając z niebytności księcia i trochę większej swobody, wybadać Poniatowskiego, poczynając od rozmarzenia najprzód i upojenia. Rusin dawał jej z sobą czynić co chciała, ale dotąd był zamknięty. Śmiał się, żartował, lecz zaklinał razem, iż żadnych tajemnic nie miał.

Panna Monika nie spuszczała go z oka; doszła, że często bardzo miewał konferencye z Szerejką, ale z tego nic wnieść nie umiała.

Jednego wieczora zażądała, aby jej Filip piosenkę "o Filonie i Justynie" przepisał. Poniatowski charakteru nie miał bardzo pięknego, ale dla Monisi sadził się; kilka razy pisał, mazał, darł, palił, wreszcie na regatowym półarkusiku, bez omyłki przepisał Filona i na końcu figlami kaligraficznymi go przyozdobił.

Na takim samym półarkusiku nosił ciągle przy sobie przygotowaną petycją, z Szerejką razem opracowaną, do Najjaśniejszego Pana; oba skrypta spoczywały w jednej kieszeni.

Stało się, że gdy niebaczny chłopak z pośpiechem, przy pierwszym spotkaniu się z Monisią, chciał jej wręczyć piosenkę, omylił się i zamiast niej, oddał petycją, którą ona nie patrząc, za gors schowała. Filip nie widział dnia tego omyłki, a dziewczę dopiero wieczorem, chcąc się uczyć piosenki, postrzegło, jak się zdradził mimowolnie. Wszystko było dla niej teraz wytłumaczono — niepokój Rusina, zamykanie się jego na rady z Szerejką, unikanie od ludzi.

Wtajemniczona we wszystko, co się we dworze działo i mówiło, panna Monika całą doniosłość tego, co się pocichu w tajemnicy przysposabiało, zrozumiała doskonale. Wiedziała, że księciu nie mogło być przyjemnem, gdy się na jego dworze okaże taki ubogi oficjalista Poniatowski, jakby umyślnie postawiony, aby królowi jego pochodzenie bardzo skromne przypomnieć. Musiano księcia posądzić, że sam przygotował lub przynajmniej umyślnie zapobiec się nie starał, publicznemu króla upokorzeniu. Ona sama nie mogła się wydziwić, jakim sposobem zapomniała, że Rusin zwał się Poniatowskim! A że książę rad sobie dobierał przyjaciół i sługi z królewskimi imionami, najlepszem dowodem tego był szambelan Sobieski, bawiący na dworze. Poniatowski przy stajni, Sobieski nad dworem, szli w parze z sobą, choć wistocie o Poniatowskim zapomnieli byli wszyscy.

Była najpewniejszą tego, że książę nigdy w świecie temu Poniatowskiemu tu się królowi przedstawiać i petycją mu podawaćby nie pozwolił.

Miała więc okazyją doskonałą księciu się przysłużyć, dać mu dowód troskliwości o dobro jego i łaskę sobie zapewnić, to jest wyposażenie. Spodziewała się i bez tego coś dostać, bo ją książę lubił i chętnie z nią żartował, ale tak znakomita przysługa nie mogła się nie wynagrodzić.

Wprawdzie, trzeba było zdradzić Filipa, ale w jej przekonaniu, miało to wyjść na jego dobro. Na radziwiłłowskim dworze w moc i zamożność króla nikt nie wierzył: śmiano się z jego połączanego ubóstwa, z długów; panna Monika nasłuchiwała się tego. Nie rachowała więc, aby Filip od króla mógł co otrzymać i przez nią to utracił. Naostatek, później się mógł królowi przypomnieć, nic nie przeszkadzało, byle nie w Nieświeżu.

Najmocniej więc postanowiła Monisia zapobiec, aby Filip petycją podać i królowi się prezentować tu nie mógł. Szło o to, jak postąpić, nie dając mu poznać, że go zdradziła.

Była pewną, że, spostrzegłszy omyłkę, przybieży po petycją; obmyśliła, że zwróci mu ją tak, jak gdyby do papieru nie zaglądała, i nie wiedziała co się w nim mieści.

Jakoż nazajutrz rano nadbiegł Filip strwożony, pomieszany i jękając się, począł prosić o zamianę piosenki o Filonie, gdyż pierwsza była źle przepisana. Z zimną krwią poczęła panna Monika szukać, znalazła półarkuszek i oddała go, otrzymując Filona; a tak doskonale grała obojętność, iż Rusin



odetchnął, najmocniej przekonany, że do papieru nie zaglądała, a tajemnica jego ocalała. Pocałowawszy ją w rękę, pisarz oddalił się natychmiast pod pozorem nawału roboty. Panna musiała się dobrze namyślać, jak i co pocnie. Księżcia znała doskonale, od bardzo dawna wiedziała, jakie miał dla Poniatowskiego uczucia, że przyjmował go zmuszony i namówiony, ale słyszała też, że się troszczył, aby mu kto, bez jego wiedzy, nie wyrządził jakiego figła. Straszniejszym zaś figłem i większą nieprzyjemnością być nie mogło nic nad to, że mu wśród tryumfu przypominano biedę i pochodzenie ubogie Poniatowskich.

Szło o to, jak po powrocie księcia z Bielska przystąpić do niego, nie dać się wyprzedzić, przestrzec go i tem sobie zapewnić wdzięczność.

W Nieświeżu wiedziano niemal dzień i godzinę, kiedy wojewoda miał powrócić. Rzewuski, książę Hieronim, kilku urzędników oczekiwało na niego. Nie łatwo się było docisnąć, ale panna Monika wiedziała wszystkie obyczaje księcia, drogi jego, nawyki, chwile najsposobniejsze do rozmowy, a i dworzan miała po sobie.

Wojewoda powrócił z rana i zaraz w ganku go otoczono; zaczął się rozpytywać o Gibraltarc, o inne przygotowania, o sprzęty, które miano przywieść z Białej i z Wilna. Docisnąć się nie było można. Nastąpiło śniadanie, przy którym książę mocno sobie podchmielił, a że zmęczonym był podróżą, siadł w krześle, nakrył twarz chustką i wszyscy powychodzili, bo to znaczyło, że się chciał zdrzemnąć. Jakoż wkrótce odezwało się chrapanie głośne, i nie drzemka, ale potężny sen przytknął mu ociężałe powieki.

Kiedyniekiedy tylko wrywały się z ust wykrzykniki i książę poruszał się gwałtownie, świadcząc, że i we śnie spokoju nie miał.

Panna Monika czatowała. Ułożyła się tak, że miała wejść, jak tylko się przebudzi. Stała, czekając na to za drzwiami i gdy książę zawołał pacholika pokojowego, ściągając chustkę z twarzy, zamiast niego wbiegła Monika, wprost do ręki księcia, którą pochwyciła i pocałowała. Wojewoda był w niezłym humorze.

— Czego ty chcesz? — zapytał — idź do księcia Hieronima albo do krajczyca, ja bo stary jestem!

— Mości książę, — poczęła, pytlując bardzo prędko Monisia — ja mam niezmiernie ważną wiadomość, którą chciałam przynieść księciu.

— No! No! Cóż się stało? Zdradził cię który z paniczów? He? — rozśmiał się wojewoda.

— Ach! Mości książę! Nie o mnie to chodzi — mówiła ośmielona dziewczyna. — Tu się takiego coś gotuje, że nic będzie pewnie miłem księciu.

— E! Cóż? Co? — szepnął pochylając się wojewoda — co?

— Ja nie wiem, czy wiadomo jest księciu, że tu na dworze przy stajniach jest oficyalista, pisarz, który się zowie Poniatowski.

Zmarszczył się mocno książę i palce do czoła przyłożył.

— Czekaj! Panie-kochanku! Ale — tak! Wistocie! Przypominam sobie. Do stu tysięcy kaczek. Poniatowski! Tak jest!

— Otóż on też się gotuje korzystać ze sposobności i do króla z prośbą przystąpić. Oficjalista księcia.

Wojewoda nie dał jej mówić, porwał się na nogi, schwycił za ramię dziewczynę:

— Milczeć! Słyszysz! Milczeć!

— Ale ja właśnie dlatego tu przyszedłam, aby ostrzec księcia wojewodę.

Zadumany ponuro stał Radziwiłł. — Otóż tobie finfa! — zamruczał.

— Mości książę, — pośpieszyła przerywając Monika — ja mogę zapobiec temu, nikt wiedzieć nie będzie.

książe spojrzał na nią.

— Nie można go dopuścić! — zawołał — powiedzą, że ja nastawiłem umyślnie, że to sprawa uknuta! Stu oficjalistów jest na dworze i nikt nie pomyślał, nie pamiętał, że my tu mamy Poniatowskiego, nie przestrzegł mnie, panie-kochanku! Trzeba było dopiero, aby dziewczyna zwąchała to.

— Mości książę, — przerwała Monika — niema jeszcze nic — nic się nie stało... Na wszystko poradzić można. Niech książę mnie zleci, ja spełnię nakaz.

— Tak! Panie-kochanku, — rzekł wojewoda, ręce łamiąc — ale co tu teraz robić?

Począł się przechadzać żywo.

— Moznaby go zamknąć na ten czas — zawołał — ale z tego powstanie potem larum takie, że ja mu się nie oplączę, a zrobię, z tego kryminał! Prosić się zaś tego dudka, aby cicho siedział w kącie — nie mogę. Królowi taki Poniatowski zpod ciemnej gwiazdy będzie nie do przełknięcia. Pomyśleć musi, że ja mu go umyślnie tu sprowadziłem, namówiłem, aby dopieć. Niespokojnie przechadzał się po gabinecie wojewoda, rękami rzucając, węża kręcąc, ramionami zzymając, gdy Monisia przystąpiła do niego, całując go w rękę.

— Niech książę tylko powie, co mam uczynić, a ja ręczę, że spełnię polecenie i Poniatowskiego nic dopuszczę nigdzie!

— Ani nawet żeby tu o nim gadano! — przerwał wojewoda. — Nikt o nim wiedzieć nie powinien. Dlatego ja sam, ani z oficjalistów, nikt się go nie może tknąć. Jakim chcesz sposobem zamknij mu usta, panie-kochanku, i żeby się nic ważył pokazywać, a nikomu o tem ani słowa.

Monika uśmiechnęła się uspokajająco.

— Niech się książę namyśli, — rzekła — ja, choćby przyszło nie wiem co dla księcia uczynić, zrobię tak, że ani Poniatowskiego, ani petycyi jego król nie zobaczy.

— Najprostsza rzecz byłaby zamknąć go do ciupy! — powtórzył książę — ale tu się nic nie uchowa. Roztrąbią! Kto! Co! Poniatowski! Książę go się obawiał. Skrzywdził go... szlachcic...

— Mości książę, — przerwała Monika raz jeszcze. — To się wszystko zrobi bez księcia, ja dopilnuje.

W drugim pokoju dały się słyszeć kroki; Radziwiłł wskazał Monice drzwi, któremi się wymknęła, gdy wtem wsunął się generał Morawski.

Zastał jeszcze szwagra tak poruszonego, iż najprzód go zapytał.

— Cóż, ile się spało?

— Sen miałem niepoczciwy! — odparł wojewoda. — Śniło mi się, że mnie Poniatowski dusił za gardło.

Generał się rozśmiał.

— Jestem pewnym, — dodał Radziwiłł — że ja tu włosy sobie dla niego z głowy wydzieram, a skończy się na tem, że nikt nie będzie kontent i król wyjedzie kwaśny.

— Ale cóż znowu za imaginacya! — podchwycił Morawski. — Dlaczego ma tak być? Wszystko się wie dzie jak z płatka. Zwierza żywego i zabitego nawieźli podostatkiem; z Białej, co książę chciał, nadesłano. Estko maluje, aż strach. Zazdrość taką palnął, że na nią patrzeć nie można. W Albie wszystko wyelegantowano.

Westchnął książę.

— Wy wszyscy i ja też ślepi, — rzekł. — Tu się coś uknuje takiego, że ani się spostrzeżemy, gdy naszą ciężką pracę lichy weźmie.

Po Morawskim wszedł pan Seweryn, potem ks. Hieronim; wojewoda się trochę rozchmurzył, ale do wieczery pozostał zadumany i małowowny.

Nikommu się nie zwierzył z tem, co mu Monika przyniosła. Widziano, że coś mu dolega; przyczyny się nikt nie umiał dobadać.

Monika z radości, że się jej tak dobrze udało, śpiewała tego wieczora nietylko Filona, ale takie piosnki, których nikt nigdy od niej nie słyszał.

Nazajutrz rano, Dowgiełło, dworzanin księcia, nieznacznie przyszedł z garderoby do Monisi i szepnął jej, aby szła do księcia. Wojewoda czekał już na nią.

— Ja to bardzo dobrze rozumiem, — rzekł — że ty, filucie jakiś, dla miłości mojej się tem nie

zajmujesz, ale mnie to na rękę. W Stawkach jest pięć chat chłopów, dworek niczego i grunta niezłe. Będiesz to wszystko miała, a uwolnij mnie od tego Poniatowskiego, niech cię wykradnie, a ty go trzymaj tam za szyję, panie-kochanku, dopóki król nie odjedzie.

— To książę chcesz, żeby się rozbębniło i rozniosło, że był tu Poniatowski, — poczęła Monika — a co ludzie z tego wyprzeda? Naco to wszystko? Ja go przez te dni kilka zamknę i żywa dusza o nim nie będzie wiedziała.

— Wyłamię ci się, — rzekł książę — a ja hajduków moich w pomoc dać nie mogę!

— Hajduków? — odparła śmiało Monisia — naco mnie oni? Ja mam dziewczek folwarcznych sześć, siedem, które drzwi pilnować będą. Zresztą, ja też pilnować muszę i nie dam mu się ruszyć, a mnie on posłucha. Cała sztuka, abym go wczas do siebie ściągnęła i żeby książę sam nakazał Dereśniewiczowej ochmistrzyni, aby ona nie pytając, robiła to, co ja powiem.

Wojewodzie się twarz rozśmiała.

— Jak mi Bóg miły, panie-kochanku, — zawołał — ale ty jedyna jesteś. Sześć dziewczek z łopatami czy z miotłami i szlachcic zasekwestrowany. Dobrze mu tak będzie, a poco się Poniatowskim zowie i u Radziwiłła służy!

Śmiał się książę ucieszony bardzo. Monika tryumfowała.

— Tylko, żeby mi hałasu nie było żadnego.

— Ani piśnie, — zawołała dziewczyna. — Ja mu powiem, że go hajducy pilnują z rozkazu księcia, ale dziewczki postawię u drzwi.

Wojewoda ją pogładził pod brodę.

— No i samaż miej miłosierdzie nad nim, aby mu w ciupie nie było bardzo tęskno. Hę! Rozumiesz.

Monisia oczy spuściła skromnie. — I patrzaj, żeby mi o tem nie gadano — dodał książę wojewoda. — Gdy król odjedzie, wszystko się załatwi... wynagrodzi, a teraz sza! I żeby go nie spłoszyć!

Monika pokręciła głową.

— Przecież książę widzi, że ja tak głupia nie jestem i wiem, co czynić potrzeba.

Wojewoda poszedł do stolika przy łóżku, dobył ogromną, długą sakwę z zielonego jedwabiu, wysypał z niej garść dukatów i rzucił je w nastawiony fartuszek dziewczęcia.

— Każ tam wina sobie dać ęsiorek... aby nie mówił potem, że go morzono i pić mu nie dawano.

To mówiąc, wskazał na drzwi, dał znak Monisi i szepnął.

— Sprawie się dobrze, pamiętaj!

Dnia tego z twarzy księcia wszyscy mogli wyczytać, że jakiegoś figla sposobił, z którego był rad bardzo, ale go nie badano, bo miewał czasem takie fantazyje, że milczał uparcie... gotując jakąś niespodziankę. Król jechał dalej z Bielska, wszędzie po drodze witany uroczyście, przyjmowany z gościnnością staropolską, sypiąc po drodze przygotowanymi podarunkami.

Obowiązkowy ów uśmiech królewski, który od rana do nocy z ust Poniatowskiego nie schodził, towarzyszył mu w podróży. Można wiele zarzucić charakterowi Stanisława Augusta i najprzywiązańsi do niego obronić go nie potrafią od zarzutów słabości, braku energii, stałości i wytrwania, ale największy nieprzyjaciel nie może zaprzeczyć, że serce miał dobre. I właśnie ta miękkość czyniła go słabym.

Rad był przez całe życie nietylko się podobać wszystkim i być im pożytecznym, ale nawet smutkiem i troskami swemi nie chciał im czynić najmniejszej przykrości. Dlatego też wiecznie i zawsze okazywał się zaspokojonym, uradowanym, szczęśliwym, choć w sercu bolał i męczył się. I w tej podróży nużącej, a nadewszystko w odwiedzinach Nieświeża, król przewidywał łatwo, na jakie nieprzyjemności narazonym być musi, ale czuł się obowiązany okazywać ciągle zachwycenie, radość i wdzięczność. Dla tych, co losu monarchów zazdrościć mogą, dosyćby było wystawić się na próbę, aby się przekonać, jaką niewolą jest pozorne szczęście panujących, podległych nieustającej etykietce, zmuszonych służyć po dniach całych i rzadko mogących to uczynić, co im się podoba. Każdy ruch zgóry obmyślony, zawczasu przewidziany, wpisany w program, życie czyni nieznośną rolę, którą odgrywać są zmuszeni. Doświadczał tego Stanisław August w tej podróży może więcej, niż kiedykolwiek, bo z wyjątkiem kilku godzin nocnego odpoczynku, nie miał ani momentu swobodnego dla siebie.

Dosyć liczna drużyna towarzyszyła Stanisławowi Poniatowskiemu, złożona z najulubieńszych mu osób; miał przy sobie hr. podkomorzego Chreptowicza, biskupa Naruszewicza, pisarza litewskiego, generała Komarzewskiego, adjutantów Byszewskiego i Michniewicza, Szydłowskiego, starostę mielnickiego, szambelana Morawskiego, sekretarza Badeniego, Białopiotrowicza, Gawrońskiego, kanonika - lektora, sekretarzy i kancelistów: Siarczyńskiego, Hondziewicza, Göbla i oprócz tego służbę osobistą z Ryxem, starostą piaseczyńskim na czele, doktora Boecklera i t. d. Ale rzadko bardzo orszak ten sam otaczał króla, gdyż po drodze przyłączali się i przeprowadzali urzędnicy i obywatele. Powozy ciągle stawać musiały, król mów służyć i od- powiadać na nie; jeść i pić nawet przez grzeczność więcej było potrzeba, niż się chciało.

Komarzewski do kielicha, inni ichmoście do półmisków zastępowali Poniatowskiego, który ani wiele pić, ani jeść często nie mógł, pomimo to choć skosztować musiał to czekolady, to wina, to owoców, z którymi zastępowano drogę.

Dnia piętnastego września nocleg o półtrzeciej już tylko milki od Nieświeża, w Snowiu u Rdułtowskich przypadał, gdzie z obiadem też liczne grono gości oczekiwało, mając na czele

gospodarza, chorążego nowogródzkiego. Spodziewano się tu zastać albo doczekać księcia wojewody z bratem Hieronimem, którzy o każdym kroku i zbliżaniu się króla byli gońcami rozstawionymi uwiadami.

Jedną jeszcze kwestyą ceremoniału pozostawała nierozstrzygnięta. Królowi towarzyszyła w podróży, raczej dla czci, niż z potrzeby, eskorta z kawaleryi narodowej złożona, która go i w Nieświeżu odstąpić nie mogła. Ale tu książę dla swojej złotej chorągwi ordynackiej mógł upomnieć się o honor odprawiania straży u boku króla. Z tego konfliktu, pomiędzy kawaleryą a złotą chorągwią można było przewidywać albo nieukontentowania, nieporozumienia lub kwasy, którym zapobiec należało. Kawaleryi nie można było postponować, ale w ordynacyi złota chorągiew miała prawo gospodarować i być czynną. Chociaż generał Komarzewski spodziewał się to załatwić z księciem - wojewodą, znana jego drażliwość we wszystkim, co się prerogatyw domu tyczyło, usprawiedliwiała obawy.

W Nieświeżu też zawczasu do poufnej narady wezwani pp. de Larzac i de Ville, opiniowali, że złota chorągiew, jako gospodarska, mogła, bez ubliżenia sobie, dać pierwszeństwo kawaleryi, gdy książę Hieronim i inni utrzymywali, że przybyli z królem, jako goście, mogli tu odpoczywać, miejscowemu wojsku ordynackiemu odstępując straż honorową. Za i przeciw odzywały się głosy; zgodzono się jednak na to, że Najjaśniejszy Pan miał rozstrzygnąć, co naturalnie przewidywać dozwalało jakiś kompromis, aby był i wilk syty i koza cała.

Snów z bardzo obszernym i pięknym dworem, z ogrodem, utrzymywanym starannie i wykwinicie, bardzo się dobrze nadawał na pomieszczenie króla i świty jego, która miała się rozgościć. Rdułtowski występował, jak przystało potomkowi starej i możnej rodziny. Zastał tu król piękny poczet dam zaproszonych, panią Zieńkownicową, kasztelanową smoleńską, Łopotową, Platerową z domu Rzewuską i kilka innych; panów: Platera, kasztelanica smoleńskiego, Obuchowiczów, Kuncewiczów, Morykonich, Oskierków, Brzostowskich.

Z Nieświeża na obiad nie nadjechał nikt, ale co chwila spodziewano się księcia wojewody, który wkrótce, w towarzystwie brata, grona obywateli i przyjaciół nadciągnął.

Chociaż dzień był dosyć chłodny, wiele osób na ganek i do ogrodu powychodziło, bo dwór, acz obszerny, nie mógł napływu coraz większego gości pomieścić. Książę przysiadł się najprzód do króla, który starał się go zabawić, ale rozmowa, nawet przy pomocy Platera i ks. Naruszewicza, nie szła bardzo rażno. Ani król do tonu wojewody, ani on do królewskiego się nie mógł nastroić.

Król do poufałości serdecznej starał się skłonić, książę ciągle ze zbytnią weneracją i uszanowaniem prawil komplementy niezbyt udatne.

Przez czas jakiś trwały konwersacje te nużące w sali i w ogrodzie, które się tem skończyły, że wojewoda z bratem wzięli na ustęp Komarzewskiego i oświadczyli, że kawaleryi ustępują pierwszeństwo. Miała więc równa liczba, dwudziestu kawalerzystów i tyluż ordynackich złocistych rycerzy, przy wyjeździe z zamku towarzyszyć Najjaśniejszemu Panu, a przy pokojach stać tylko kawalerya narodowa pancerna, która od Pińska konwojowała. Na zamku wszystkie inne warty zajmować miała milicya ordynacka, której dyżurny adjutant króla wydawał parole i rozkazy.

Cały szwadron kawalerii pancernej, bardzo świetnie przybrany i uzbrojony, znajdował się u boku króla, a że ichmoście wszyscy byli rodzin znacznych, zamożni i przyzwyczajeni przodować wszędzie, i tu więc Komarzewski i Byszewski mogli się obawiać starć nieprzyjemnych z radziwiłłowskimi oficerami, po większej części cudzoziemcami, którzy na tym gruncie polskim nawykli byli się za coś lepszego od miejscowych uważać. Czujność wielka potrzebną była, aby temu zapobiec.

Ale oprócz tego, król i dwór, zbliżając się ku Nieświeżowi, czuli całą drażliwość położenia. O wzajemnych ku sobie uczuciach dwu obozów nikt się nie łudził; nie dowierzano sobie z obu stron, spoglądano z obawą i naturalnie przy tem usposobieniu każda czynność, ruch, słowo tłómaczyły się niespokojnie, bo w nich szukano skrytej chętki złośliwej, dokuczenia w taki sposób, aby się o to upomnieć nie było można.

Gdyby nie starosta mielnicki Szydłowski, dowcipny, wesół, złośliwy, ale przytomny i zręczny, a po części też nie ks. biskup Naruszewicz, który także w dobrym humorze dla króla się starał utrzymać, Stanisław-August wydałby się może z trwogą, jaką miał w duszy.

Szydłowski, Radziwiłła sobie lekko szacując, uspokajał króla, że się na żadną złośliwość wykwinąć zdobyć nie potrafi, a w jego towarzystwie nikt śmieć nie będzie nawet królowi i gościowi chcieć przypiąć jakąś łatkę; niezupełnie to przekonywało.

— Sam przepych ten jego, występowanie do zbytku kosztowne, nie jest bez głębszej myśli — szeptał przyjacielowi Stanisław-August. — Wrzekomo czyni mi honor, ale wistocie mówi: "Panie -kochanku, dla mnie to nic nie stanowi... a ty chudym pachółkiem jesteś przy mnie, byłeś nim i pozostaniesz do końca". Ale tego nie dosyć; zobaczysz, mój starosto, że tu i inne delikatne przytyki rozmaite do mnie zkolei wystąpią. Książę sam i ci, co mu się zechcą przypochlebić, dostarczą konceptów.

— Najjaśniejszy Panie, — odparł starosta — nawet przypuściwszy, że coś podobnego może nas spotkać, mamy na to jedyne lekarstwo: dumne ignorowanie rzeczy, których widzieć nie zechcemy. W tem sztuka, aby nie okazać się dotkniętym. — *Bonne mine a mauvais jen!* — szepnął król, wzdychając.

W Snowiu, ponieważ gońcie długo się zabawiali na pokojach i nie rozchodzili, choć król zniknął, po trzy razy musiał do nich powracać i szczególnie paniom prawić komplementy, aż naostatek o dziewiątej, gospodarza pożegnawszy, wycofał się dla bardzo potrzebnego wypoczynku, gdyż dzień następujący bardzo miał być uciążliwym.

A na spoczynek nie zaraz się udać było można. Komarzewski oczekiwał na decyzją, co się miało dostać "na niezabudź" panu chorążemu nowogródzkiemu, kilku damom, gospodynią zastępującym, służbie i t. p. Na każdym popasie i noclegu powtarzała się taż sama scena. Jenerał chciał zbyć jak najmniejszym, król rad był wystąpić wspaniale i szczerze. Tymczasem te skromne pamiąteczki w kosztach podróży stanowiły znaczną rubrykę. Wieziono całe skrzynki zegarków kameryzowanych, pierścieni z cyframi i miniaturami, tabakierek, naszyjników, bransolet i kolczyków. Tysiącami pożyczonych dukatów król to opłacił, nie licząc tego, co u jubilerów na kredyt wzięto.

Zachodziły z podarkami trudności niezliczone, bo niemi również sobie serca pozyskać, jak obra-

zić było można. W samym Nieświeżu, czem się tu było wywdzięczyć tym, którzy mieli wszystko, począwszy od najwyższych dostojęństw i orderów?

Radziwiłł zaś, gdy przyszło do układania programu, w którym oglądanie skarbcza wpisane było, zapowiedział zgóry tym, co oprowadzać mieli:

— Proszę mi pilno uważać, co będzie chwalił, co mu się podoba, i notować, panie - kochanku. Wszystko mu się to będzie ofiarowywało...

— A jeżeli... — przerwał Morawski.

— Żadnego niema "jeżeli", panie - kochanku! — gorąco zawołał wojewoda. — Albo *honeste*, poradziwiłłowski, albo się nie było porywać.

Tej nocy mało kto spał w Nieświeżu; nazajutrz od rana miała się rozpocząć ta "*passya*", jak ją tam pocichu nazywano. Wiedziano, że król o dziewiątej ze Snowia wyruszy.

Książę to się uspokajał, gdy go zapewniano, iż wszystko jest w gotowości, to nagle, coś sobie przypomniawszy, porywał się, budził, posyłał, przywoływał i nie dawał uspokoić, aż połowę dworu poruszył nadaremnie.

— Dam na nabożeństwo, gdy się to raz skończy, — szeptał książę Hieronim. — Wielki honor, ale w pocie czoła go zdobywamy.

Przez trzy dni poprzedzające deszcz prawie ciągle padał, kapuśniaczek jesienny, cichy, maleńki, ale do kości przejmujący wilgocią i chłodem. Dnia tego szczęściem wypogodziło się od rana, ale wiatr, zwrócony na północ, smagał dosyć nieprzyjemnie.

W ganku raz jeszcze pożegnawszy chorążego i panie, przy okrzyku vivat! — król, wsiadłszy do kolasy z ks. biskupem Naruszewiczem i Komarzewskim, otoczony pancernymi, wyruszył gościńcem na Malew do Nieświeża prowadzącym. Za nim szedł cały sznur powozów, furgonów, kolebek, a w Snowiu już zaczęła przybywać z okolicy szlachta konno dla towarzyszenia do Nieświeża.

Milę zaledwie ujechawszy, w Malewie zbieranej tej drużyny, najdziwniej postrojonej, znalazło się głów już kilkaset.

Od wieczora wczorajszego, działa, na wałach zamkowych w Nieświeżu ustawione, od czasu do czasu się odzywały; zrana zaś nieustannie zkolei grzmiały, zwiastując przybycie dostojnego gościa. Szczególnie trzy kartany ogromne, czterdziesto-ośmio funtowe, w spadku po Sobieskim wzięte przez Radziwiłłów, głużyły wszystkie inne.

W Malewie gromady włościan, ustawione po obu stronach gościńca, czapki podrzucając, witały okrzykami donośnymi. Król kłaniał się, rękami znaki dawał, uśmiechał się, ale podrażniony już dniami poprzedzającymi, drgał za każdym głośniejszym wrzaskiem.

Szlachta, chłopci, tłumy te całe, powitawszy, biegły za powozami; dokoła pola były ludem okryte.



.....

Lecz, nim dalej towarzyszyć będziemy Najjaśniejszemu Panu w jego tryumfalno-męczeńskim pochodzie, musimy zwrócić się do Nieświeża i pana Filipa, który, oczekując na przybycie swego imiennika, z nadziejami coraz bujniej wyrastającymi, podbudzany i ośmielany przez Szerejkę, krył się z sobą, w ciągłej obawie, aby nazwiska jego nie przypomniano i pod straż go nie wzięto.

Nie domyślał się biedny, że wszystko już było ułożone i obmyślane tak, aby, od szesnastego rano poczawszy, nie mógł nosa na świat wychylić.

We środę wieczorem widział się z panną Moniką, która dla niego była czulszą i zalotniejszą, niż kiedykolwiek. Stali we dwoje o mroku, a drżący Filip trzymał jej rękę, ścisnął ją i przytulał do serca. Rozmowa cicha, przerywana, coraz się czulszą stawała.

— Słuchaj, — rzekła wkońcu panna — jutro rano wszyscy jadą na spotkanie króla do Malewa, w zamku będzie pusto... przyjdź do mnie na śniadanie.

Filip się zmieszał, uląkł się jakoś.

— Ale... — wyjąknął.

— Niema "ale"; jeżeli mnie kochasz, to przyjdiesz. Słowo.

Rusin dał słowo.

— Pamiętajże! Bo inaczej między nami wszystko zerwane. Przychodź rano, bodaj o ósmej... wiesz mój pokoik?... wprost, nie pytając, do mnie. Kawa z kożuskiem będzie na stole, a i kieliszek wina się znajdzie.

Potrzykroć musiał zapewnienie powtórzyć Filipek.

Wistocie chwila do odwiedzin niepostrzeżonemu była doskonale obrana. Wojsko, konie, kolebki, sam książę i cały dwór jego daleko wcześniej już za Nieśwież wyciągnęli, gdzie się ustawiano, porządkowano, a książę wszystkich musztrował.

Poniatowski, w nowy kontusz się ubrawszy, przejrzawszy w zwierciadélku, uśmiechnąwszy do siebie, włosy przyczesawszy, czapeczkę na ucho nacisnął i przemknął się niepostrzeżony do tej części zamku, którą fraucymer zajmował.

Panna Monika czekała go w progu. Mogło go to uderzyć i zdziwić, że w przedpokoju, który zwykle bywał pusty, tym razem zastał około dziesiątka silnych dziewcząt, duszących się od śmiechu, które na widok jego najprzód z okrzykiem pierzchnęły, potem nazad powróciły, stanęły od progu i, gdy Filip wchodził do panny Moniki, z wrzawą drzwi, które zamykał za sobą, otoczyły.

Panna Monika trochę była blada i zmieszana. Prosiła go siedzieć, nalała mu kawy i wyszła.

Filipowi przywidziało się, że wychodząc drzwi za sobą na klucz zamknęła. Ale rozśmiał się z tego. Nie mogło to być!

W wesołym usposobieniu zabrał się do kawy. Wszystko mu szło po myśli i składało się szczęśliwie: petycja do króla była doskonale skoncypowana przez Szerejkę, umiał ją całą na pamięć; z Monią stosunek nic nie pozostawiał do życzenia. Szło tylko o to, jak i gdzie, za czyjś pośrednictwem mógł się docisnąć do Najjaśniejszego Pana, aby mu wręczyć przepisaną na czysto wykwintnie prośbę, ale nad tem czuwał poczciwy jego protektor i doradca. W myślach tych o szczęściu swem zatopiony Filip nie zważał na to, że w przedpokoju pod drzwiami ruch panował nadzwyczajny, śmiechy, wykrzyki, stukanie jakiegoś, o same drzwi nawet coraz to ktoś uderzał, jakby mimowolnie. Panna Monika, która miała na chwileczkę się tylko oddalić, nie powracała. Wypiwszy kawę, zjadłszy wszystkie bułki, które na stole znalazł, Rusin się zaczynał niepokoić, trzeba mu było powracać na stanowisko. Wyczekawszy dosyć długo, wstał nakoniec, podszedł ku drzwiom, ujął za klamkę, pocisnął... Co u licha? Zamknięte były na klucz!

Nie mógł tego zrozumieć. Spróbował raz drugi... zamknięte!

Wziął to za figiel panny Moniki, która wkrótce powrócić miała; nie było się czego trwożyć... Siadł za stół i czekał. Tymczasem upłynęło tak dobre pół godziny. Zadługo już tu siedział. Podszedł ku drzwiom, próbował jeszcze raz i stukać w nic zaczął, wołając: Otworzyć!

Odpowiedziały mu śmiechy najprzód rześiste a wkrótce potem dał się słyszeć głos znany panny Moniki.

— Siedz Waćpan spokojnie. Uproszę, ażeby mnie wpuszczono do niego i wszystko wytłomaczę.

Filip osłupiał.

Nie mógł pojąć, co to znaczyć miało. Jakiś żart, figiel... ale do czego! Zrobiło mu się zimno i gorąco, potarł czuprynę. Wtem klucz się okręcił w zamku powoli, drzwi nieco uchyliły i boczkiem wcisnęła się, palec na ustach trzymając panna Monika. Filip ją witał śmiechem, ona mu jakieś dawała znaki.

— Pięknegoś mi Waćpan nawarzył piwa! — zawołała. — Jakieś spiski przeciw księciu knułeś, czy co? Wojewoda kazał go przyaresztować gdzie schwycą — i zamkniętego trzymać pod strażą najmocniejszą. Ja nieszczęśliwa! Trzeba było, żeby Waćpana tu u mnie pochwycono, cały dwór będzie o tem uwiadomiony, wstyd, srom...

Zakryła sobie oczy, jakby płakała.. Filip stał skamieniały.

— Coś wacan zbroił? Co? Poczęła panna. Dopiero teraz przyszło Rusinowi do głowy, że ktoś musiał zdradzić jego petycją, którą podać miał królowi i że mu to za złe wzięto. Ale nie był to przecie żaden kryminał, żaden spisek przeciw wojewody!

— Panno Moniko, dobrodziejko moja, — zawołał — w piersi się bijąc. To są potwarze! Ja w żadne spiski się nie wdawałem, o żadnych nie wiem, nie znam. Nazywam się Poniatowski, i z tego

tytułu do króla Poniatowskiego chciałem podać prośbę, chyba za to mię winnym czynią. Ależ szlachcic jestem, nikt mi tego zabronić nie może. Więzić nikt mnie nie ma prawa!

Monisia słuchała zmarszczona groźnie.

— Waćpan się myślisz z księciem prawować? Jesteś przecież sługą jego. Książę się musiał dowiedzieć, żeś chciał bez jego pozwolenia podawać prośbę, i słusznie zamknąć Waćpana kazał. Królby pomyśleć mógł, że on sam nasadził tu ubogiego oficjalistę, aby królowi oczy tem wykłół, że ma taką familią biedną.

Poczęła wzdychać i lamentować bardzo naturalnie panna Monika. Filip, łagodny zwykle i bojaźliwy, tym razem widząc wszystkie swe nadzieje na szwank wystawione do rozpacz przywiedziony, burzył się. Rzucił się ku drzwiom, chcąc gwałtem ztąd się wydobyć, ale panna mu od drzwi zastąpiła.

— Co waćpan robisz najlepszego? — krzyknęła. — Zgubisz się! A tóż cię w kajdanki okują i do lochu dadzą; siedź spokojnie. Jak tylko książę powróci, ja pójde prosić go, jeżeli dostąpić potrafię. Do drzwi się dobijać nie może nic, choćbyś Waćpan je wyłamał. Dziesięciu hajduków stoi na warcie i słyszałam, jak im rozkaz dawano, gdybyś się wyrwać chciał i buntował, aby okuć i dać do wieży.

Filipowi w głowie się zakręciło. Nasłuchał się niemało sprawek dawnych księcia wojewody, który nie szanował nic, gdy mu się kto ważył sprzeciwić. Cóż on biedaczysko sam jeden, a choćby i z Szerejką we dwóch mógł przeciwko potędze wojewody.

O podanie prośby szło mu wielce, ale teraz więcej niż ona, obchodziła go swoboda osobista, zemsta wojewody, złamana przyszłość cała.

Monika, czytająca mu w twarzy, wyrozumiała łatwo, iż się strwożył, i że teraz z nim będzie mogła zrobić co zechce. Uderzyła go zlekka po ramieniu.

— Bądź spokojny, — rzekła cicho — zachowaj się tylko skromnie i nie rób wrzawy, a ja się postaram, aby się nic złego nie stało. Prośby podawanie wybij sobie z głowy, przesiedzieć musisz tu w moim pokoju aż dopóki król nie odjedzie; potem, ja się spodziewam, wojewoda się znajdzie łaskawie i...

Nie dokończyła.

— Zostaw to mnie — dodała po chwili. — Dziesiętnik, który z hajdukami stoi na straży przy waćpanu, jest mi znajomy z Białej jeszcze, postaram się, aby waćpanu nie zbywało na niczem, ale siedź cicho, spokojnie, trzeba się poddać!

To mówiąc, skinęła głową Filipowi, zapukała do drzwi, wysunęła się niemi żywo, i zaraz za nią zapadły rygle, a Rusin pochwycony w pułapce, znalazł się sam jeden, z głową, w której poplątanych myśli nie mógł jeszcze przyprowadzić do porządku.

Całą nadzieję pokładał w Szerejce. Szerejko musiał postrzec, że Filipa nie stało i dojsć, że go

zamknięto; on jeden mógł go ratować. Nie wątpił, że mu na dobrej woli zbywać nie będzie.

Znękany i smutny rzucił się na stołek, podparł na stole oburącz i pozostał tak pogrążony w myślach czarnych, nie wiedząc już ani jak czas płynął, ani co się wkoło działo.

Pode drzwiami głosy hajduków pilnujących go, dziwnie jakoś niemęsko brzmiały...

\* \* \*

Zaraz za Malewem w polu — poczynano się przyjęcie króla od tego, nader delikatnie obmyślanego figla, który miał *urbi et orbi* okazać, iż Sarmatów król, Chrobrych i Krzywoustych spadkobierca — konia nie mógł dosiąść...

Stanisławowi-Augustowi nic godziło się nawet okazać urazy i żalu za... to upokorzenie. Na gościńcu stały wierzchowe konie dla orszaku Najjaśniejszego Pana i osobno, pod złocistym dywdykiem, Palmyr dla króla. Koniuszowie Borzęcki i Kamiński prowadzili konie i — landarę zatrzymać musiano.

Król śmiał się, ale pobladł; zrozumiał, iż ten koń, którego on dosiąść nie mógł, miał iść świadczyć o jego zniewieściałości i niemocy.

Szydłowski, Komarzewski, Byszewscy i cały niemal dwór ruszył się z powozów, dosiadając wierzchowce, tak, że król z ks. biskupem i duchownymi, sam prawie pozostał w powozach.

Doktor Boeckler pośpieszył mu na ratunek, biorąc na siebie to, iż on nie mógł pozwolić, dla stanu zdrowia Najjaśniejszego Pana, tej konnej przejażdżki. Odegrała się więc mała scena w przytomności radziwiłłowskich koniuszych — i król niby się napierał, Boeckler nie dopuszczał, reszta dworu naturalnie obstała przy doktorze, tak, iż Najjaśniejszy Pan mimowoli musiał dalej jechać w landarze. Honor salwowano — ale to pierwsze wrażenie radziwiłłowskiego przyjęcia — gorzkim było... Pół milki już tylko pozostawało do miasta, które w dymach ciągle bijących dział się ukazywało, gdy znowu powóz królewski zatrzymać się musiał.

Na gościńcu stali konno: generał Morawski i pisarz wielki litewski Plater, w asystencji licznej panów szlachty. Morawski przybliżył się do powozu i zameldował Najjaśniejszemu Panu, że szwadron usarów kawaleryi narodowej, który konwojować miał z Nieświeża do Grodna, stał w polu czekając na rozkazy, czy miał odbyć manewry i jakie?

Po wierzchowym koniu, którego król nie mógł dosiąść, kawalerya, której nie mógł musztrować z powozu — była drugim, jakby umyślnie nastawionym przytykiem i znaczyła... król-baba.

Uczuł to mocno Poniatowski, lecz umiał pokryć to drugie wrażenie przykre, którego mu oszczędzić łatwo mogli Radziwiłłowie — śmiejąc się, kłaniając, zacierając ręce, ' dziękując i starając okazać się szczęśliwym ze wszystkiego.

Bądźcobądź, zupełnie obojętnym dla usaryi swej i wojsk Rzeczypospolitej, które ona tu reprezentowała — nie mógł się Stanisław-August okazać. Po krótkim namyśle, chociaż powietrze było chłodne, choć wiaterek mroźny zawiewał z północy — wysiadł z landary i... pieszo ruszył ku szwadronowi, ustawionemu nad drogą. Nadbiegł do niego Komarzewski z radą, która wielce potrzebną była, bo król niespełna wiedział, co począć z manewrami.

On i adjutant Byszewski powtórnie salwowali honor króla, przybiegając do niego, otrzymując niby rozkazy i odnosząc je dowódcy szwadronu. Usarya ta, choć w wojnieby niewiele przydać się mogła, bo była zbyt ciężką i nie odpowiadała nowym wymaganiom wojennego rzemiosła — na oko wyglądała bardzo pięknie i malowniczo. Przypominała dawne czasy i mogła wywołać łzę i westchnienie, — lecz tu... nikt myślą się nie przenosił w przeszłość, — i pięknych tych rycerzy maskaradowych witano uśmiechami.

Usarze, raz rozpoczynając manewry, do których byli przygotowani na popis, nie rychło je dokończyli. Radzi byli okazać się przed radziwiłłowską milicyą z wyższością swoją nad nią. Król więc z nogi na nogę przestępując, aby się cokolwiek rozgrzać, a nie zapominając dawać oznaki najwyższego swego ukontentowania — musiał tak wymęczyć się dobre pół godziny; poczem część szwadronu posłał przodem do Nieświeża dla zajęcia warty, do której był komenderowanym, a pozostała — towarzyszyła landarze.

Za doznaną nieprzyjemność ukrytą, nagradzał istotnie wspaniały widok, który się tu przed królem roztaczał. Cała przestrzeń od miejsca tego do miasta zajęta była różnobarwnym tłumem szlachty na koniach, wojska i ludu, świątecznie postrojonego. Zdała grzmiąły działa, bliżej rozlegały się wiwaty; wszystkie twarze śmiały się wesoło, wszyscy zdawali się szczęśliwi.

Dla okazania, iż ordynackie wojsko wcale się porównania z husaryą nie lękało — w niewielkiej odległości stała w polu złota chorągiew księcia jegomości z pułkownikiem swym Jankowskim na czele.

Ten, jakby na okaz był umyślnie dobranym, tak pięknie i rycersko się reprezentował, a cała chorągiew z nim razem ze starożytnego obrazu się zdawała wykrojona. Jankowski miał na sobie przepyszną zbroję szmelcowaną i nabijaną złotem z szyszakiem do niej dobranym i kameryzowany drogiemi kamieniami buzdygan w ręku. Twarz, postawa, rząd na koniu, oręż — wszystko się składało na jakieś widmo przeszłości dawno pogrzebionej. Nad nim i jego ludźmi zdawało się powiewać na niewidzialnym proporcu uroczyste a smutne "*Fuimus!*" Cała też z dwóchset szlachty złożona chorągiew, a szczególnie osiemdziesięciu towarzyszków uszykowanych od czoła i na skrzydłach, była na sposób dawny ubraną i uzbrojoną. Barwy kontuszów były granatowe, wyłogi czarne i żupany słomkowe, proporce przy kopiach na dawny sposób bardzo długie, karmazynowe z czarnym.

Towarzysze ze skarbcza mieli na ten dzień wydane zbroje starożytne przepiękne, kirysy, nabojczyki, szyszaki, tarcze; kopie, jakich już nie używano, umyślnie toczono.

Złota chorągiew, choć nie zaćmiła husaryi króla, ale miała nad nią tę wyższość, że składała harmonijną całość.

Mógł nią książę wojewoda być dumnym. Wprawdzie w poluby się ona nie na wiele przydała

teraz; nie było to wojsko, któreby czoło stawić mogło temu, jakie siedmioletniej wojny doświadczenie stworzyło, lecz jako widowisko wspaniałe, zachwycającem było.

Tło też, na którym się malował ten obraz przeszłości, doskonale było dobrane do niego. Widać ztąd było jak na dłoni całe miasto, zamek, pałac, ratusz, wieże i mury kościołów pojezuickiego, bernardyńskiego, dominikańskiego, benedyktynek, rynek i ulice z murowanych kamienic złożone, dalej w głębi na górze św. Michałskiej kościół i ogromne budowle niegdyś jezuickiego nowicyatu, i tuż na wzgórzu, otoczonym gęstym i pięknym, teraz w części pożółkłym lasem, gmachy opactwa świętokrzyskiego benedyktynów, a w głębi niektóre budowle należące do Alby, letniej rezydencji książęcej.

Pogodne niebo, zza lekkich obłoków przeglądające słońce, unoszące się nad zamkiem dymy dział, które nieustannie ognia dawały, ożywiały tę panoramę wspaniałą i wesołą.

Za złotą chorągwią zaraz wystąpiły znowu bogato przybrane w rzędach wspaniałych, pod dywdykami od złota i pereł, ze skarbca na ten dzień wziętymi, konie paradne, po większej części wschodnie, za nimi strzelcy nie mniej jak ośmset ludzi, ze strzelbami jednakiemi, wszyscy w barwie jednej, zielonych żupanach i szarych kurtkach.

Od chwili, gdy się kawalerya ukazała, szpalerem nad gościńcem nieprzerwanym stali radziwiłłowscy milicje, strzelcy, straż, mogący najlepsze dać wyobrażenie potęgi tego domu, który tak liczną służbę mógł po większej części dla samej tylko pańskiej fantazyi utrzymywać.

Król ze swym dworem bardzo się skromnie wydawał, tonąc wśród tych tłumów strojnych i zbrojnych. Nieco dalej wśród wspaniałego orszaku na przodzie, czekał na króla książę wojewoda na ten dzień też ubrany jak do obrazu i do swej starożytnej chorągwi. Twarz jego nawet zdawała się niezwykłą przyobleczona powagą.

Miał pod sobą nadzwyczajnej piękności siwego konia tureckiego, okrytego dywdykiem z lamy srebrnej, na którym zamiast haftu poprząszone były ciężkie sztuki złote, kamieniami wysadzone. Rumak miał co dźwigać, bo i książę ze swą tuszą i cały przybór niemałej był wagi. Siodło, strzemiona od złota ciążyły też sporo, ale wierzchowiec, pomimo to, zdawał się swobodnie i żywo poruszać.

Wojewoda wileński naturalnie miał na sobie mundur województwa, a na głowie soboli kołpak z kitą brylantową i spinkę, w której ogromne świeciły dyamenty.

Ponieważ książę witać miał króla i poruszać się potrzebował swobodnie, a siwy turek pod nim ustać nie mógł spokojnie, dwóch masztalerzów u uzdy go przytrzymało.

Tu chwila następowała zkolei dla króla daleko łatwiejsza do przebycia niż dla księcia, który wymownym nie był, ani do oratorskich popisów nawykłym. Mowy dla niego pisali oprócz Bernatowicza, Zaleski, a może i Matusewicz, była więc poprawianą i psutą nieraz, a jaką na świat wyjść miała o to się wojewoda nie wiele troszczył, ale potrzeba ją było wypowiedzieć. W tem był sęk. Książę pamięci nie miał, a uczyć się czegokolwiek na pamięć, oprócz pacierza, w życiu nie próbował. Więc choć oracyą skrócono, zawsze ona przechodziła siły jego. Podstawiony więc na

koniowi blisko Seweryn Rzewuski, jak wszyscy tej rodziny członkowie, cudowną pamięcią obdarzony, miał podpowiadać, i śmiał się, że mu to studenckie czasy przypominało.

Mowy tej, którą w pocie czoła, nie zawsze wyraźnie książe, łykając ciągle swe nałogowe panie - kochanku, wygłosił, powtarzać nic będziemy.

Styl jej szczególnie, wieku tego językowe niewyrobieństwo poświadczają, ale słodczy dla króla była pełna. Zwała go «ojcem powszechnym, od narodu ulubionym, drogim zlewem krwi jagiellońskiej», czegoż więcej od Radziwiłła można było pożądać? Parę razy przodkowie Jagiełłowie przypominali się; wspomniany był Władysław IV i "przodek króla" Stefan!

Jako mała próbka stylu osobliwego, wymuszonego, zawikłanego, mętnego, służyć może przedostatni frazes: "Wpatruj się, dobroczynny panie, w radosne czoła i twarze otaczające ciebie, wierzaj w serca ich — są czyste, samą tylko wiernością obywatelską, najżywszą miłością przywiązania (!) do monarchy swego zajęte".

Odetchnął dopiero wojewoda, gdy na Stefanie, przodku królewskim (miało to wówczas właściwie poprzednika oznaczać) zakończył.

Król słuchał w powozie stojąc, z głową nakrytą, podtrzymywany przez Naruszewicza i Chreptowicza, uśmiechając się i wdzięcząc, chociaż męczył się równie jak wojewoda, ale odpowiedź mu przyszła nierównie łatwiej, niż jemu owa wyuczona mowa.

Wedle relacji ówczesnych przemówienie królewskie tak było wymowne, iż do łez pobudziło miększe serca. Cisza panowała dokoła, że głos, z początku nieco cichy, potem coraz się podnoszący, doskonale w znacznej odległości słyhać było.

Lecz na tych dwu mowach nie miało się skończyć, niestety! Król musiał ciągle stać, urzędnicy starsi województw i powiatów, konno podjeżdżali pokolei i witali go, a na każdą mowę odpowiadał, co wprawemu i nawykłemu do prawienia słodczy przyszło z łatwością wielką. Występowali tedy: marszałek wileński Tyzenhauz, oszmiański — Oskierka, wiłkomierski — Ko- ściałkowski, miński — podkomorzy Pruszyński, mozyrski — Oskierka, za nowogródzian — Wojniłłowicz.

Ten, na ostatku już "wielbił w królu ojca ojczyzny", a chwilę tę wiekopomną nazwał epoką.

Trwało to dosyć czasu, a w miarę, jak mówcy się mieniali, poprzednicy wyjeżdżali naprzód i stawali w szeregu do dalszego pochodu, na którego końcu, przed samą landarą stanął książe z przedniejszymi senatorami i dygnitarzami.

Nim się ruszono z miejsca, król usilnie począł prosić i naglić Radziwiłła, aby z nim siadł do powozu, ale książe na żaden sposób zgodzić się na to nie chciał i uparł się jechać konno. Był swobodniejszym, a obawiał się dłuższej konwersacji, do której ceremonialności trudno mu się było przymusić.

Pomimo, że dzień i ku południowi nie przestawał być chłodnym, Radziwiłł ciągle z czoła pot rzęsisty ocierać musiał, a król ze znużenia bladym był i żółtym.

Za księciem jechał Rzewuski, wojewoda odwrócił się do niego:

— A co? Panie-kochanku, mowa?

— Doskonale poszło wszystko! — odparł pan Seweryn. — Omen dobry, dotąd idzie jak z płatka. Książę westchnął i pomyślał: żeby mi tylko tego Poniatowszczyka zamknięto.

— Mości książę, — przerwał w tej chwili instygator Chrapowicki — jak Bóg miły, że takiego widoku, jak oto dzisiejszy, kto na elekcyi nie bywał, nie mógł w życiu nigdzie oglądać. Na to potrzeba było Nieświeża i Radziwiłła.

Książę uśmiechnął się, ale troska i zmęczenie przez uśmiech przeglądały.

— Panie-kochanku, — zamruczał — dopiero wkońcu się pochwalimy, a to zaledwie początek.

Na przedmieściu kazimirskim wystawione były wrota tryumfalne, które Estko też, pomimo sufitu, w części także malować musiał. Na czele ich złotemi stało głoskami:

*Laetitiae et felicitatis publicae*

*et*

*Stanislao - Augusto*

*Regi Polon. M. D. Lituaniae*

*Carolus II. Dux Radziwillus.*

Karol II wyglądał tu pysznie, jakby panujący, i za takiego się też miał książę-wojewoda.

U wrót *more antiquo* stał kahał z rabinem na czele i podarkiem dla Najjaśniejszego Pana, składającym się z tafli stołowych i zastawy, jakie naówczas były w użyciu, z figurami, cyfrą i piramidą. Rabin wygłosił mowę, król odpowiedział.

Zaledwie po niej miał czas odetchnąć, gdy się brama miejska ukazała, u której stał wójt Magdeburgii z mową i kluczami. Król, który był długo blady, zaczynał ze znużenia, od wiatru, od wzruszenia nabierać niezdrowej barwy ceglastej na twarzy. Pokaszliwał i kręcił się.

— Najjaśniejszy Panie, — szepnął siedzący przy nim Naruszewicz — nic nie pomoże, potrzeba ten kielich wypić do dna... Oto magistrat z kluczami! Co dalej nastąpi, nie wiem, ale na wszystko przygotowanym być potrzeba.

Król musiał powstać, bo wójt już trzymając na srebrnej tacy klucze miasta, zaczynał: "Miasto



Nieśwież... ".

W mowie, szczęściem nie długiej, zacytował niefortunnie napis na bramie w Warszawie położony przy wjeździe Jana III, i przypomniał nim znane wszystkim, nie wyjmując króla, owe:

*... jabym stokroćłożył, Aby Stanisław umarł, a Jan Trzeci ożył...*

Król z uśmiechem zawsze, dotknął zaledwie kluczków i podziękował bardzo krótko.

Na bramie przystrojonej wieńcami i zielonością, stało:

*Aperite portas principi vestro et introibit Rex!*... Powozy dla niezmiernego natłoku w tej pryncypalnej ulicy wileńskiej powoli zaledwie postawać mogły. Drzwi, okna, dachy, drabiny, kominy pełne były najróżnorodniejszych tłumów, wśród których kobiety chustkami, mężczyźni czapkami w górę podniesionymi powiewali. Książę pragnąc wystąpić w całej swej potędze i sile, w rynku około ratusza kazał ustawić garnizon, piechotę z zaciężnego pospolitego żołnierza złożoną, około tysiąca ludzi grenadyerów pod dowództwem Radziszewskiego, pisarza grodzkiego, pułkownika i jeneralnego komendanta całej milicyi radziwiłłowskiej.

— Książę wystąpił, — szepnął na ucho biskupowi król — jak gdyby mi chciał wojnę wypowiedzieć.

Ale na tem jeszcze nie koniec, na placu pojezuickim przed kościołem stała uszykowana dragonia, głów ze trzysta, równie chędogo i pięknie jak grenadyerowie wyglądająca.

Król jechał najprzód do kościoła, w którym dla niego przygotowany był pulpit aksamitem okryty, z wezgłowiem, a po obu stronach jego na straży, trzydziestu rycerzy w starożytnych zbrojach, z halebardami.

Najmniej rycerskiego króla, jakby na przekorę wszędzie tu wojsko i rycerstwo spotykało i otaczało. Nie można się było obronić myśli, iż w tem zawarty był wyrzut niemal i wymówka. Czy król to uczuł — Bóg wiedzieć raczy, czy się to stało mimowoli? Niewiadomo, lecz, że nie jeden pomyślał sobie: — Wolałby on co innego! To pewna.

Na spotkanie ks. biskup smoleński (Wodziński) *in pontificalibus* wyszedł i króla, pokropiwszy święconą wodą, wprowadził do wnętrza wspaniałej świątyni, wśród huku dział, trąb na chórze, organów i strzałów ręcznej broni.

Majestatycznie rozległo się *Te Deum landamus!*

Kapelan i ulubieniec księcia ks. Kantembrynk eks-jezuita, kustosz smoleński, słynny z rozumu i

wymowy, głos zabrał.

Mowa była długa i może ze wszystkich najswobodniej, najzręczniejszej, najlepiej pomyślana i wypowiedziana. Przypomniawszy stary kapłan w niej, że niegdyś w Warszawie przed dwudziestu laty królowi z kazalnicy wstąpienia na tron winał. Było to miłe może mówcy, ale jak gorzkie dla króla wspomnienie. *Quantum mutatus ab illo!*

Wszyscy monarchowie poprzednicy, którzy Nieśwież i Radziwiłłów odwiedzali, wielkie cienie, przy których ów królik nowy tak małym się wydawał, przesunęły się w mowie Kantembryka.

Zygmunt August, co się zrzekł dziedzicznych praw swych do Litwy, oddając je rzeczypospolitej, Władysław IV, Jan Kazimierz przyjmowany w Białej, August II w Birżach, naostatek król "naród swój kochający i od narodu ukochany". Była to jakby przepowiednia hasła, które się w lat kilka potem krótko rozlegać miało i ucichnąć. Król z narodem, naród z królem!

Od pulpitu król wzruszony raz jeszcze odezwał się dziękując ks. kustoszowi i wysoko podnosząc zasługi, dostojność i cnoty znakomitego domu Radziwiłłów. Mowa królewska, istotnie z serca wypowiedziana, bo wszystkie oznaki czci, jaką mu oddawano, nie mogły nie wzruszyć króla, uczyniła wielkie wrażenie, Głos piękny, deklamacja wprawna i umiejętna, powierzchowność Stanisława-Augusta sympatyczna i miła, serca mu pozyskały. Sam książę wojewoda parę razy oczy otarł nieznacznie.

Naostatek dzień ten, niesłychanego wysiłku wymagający, miał się skończyć odpoczynkiem na zamku. Była już druga godzina z południa. Od miasta dzieliła tylko na parę tysięcy kroków długa grobla. W bramie zamkowej komendant stał z kluczami, ale ukazanie ich królowi i powrót panu de Ville niewiele czasu zabrało. Działa na wałach, dotąd ciągle czynne, które więcej tysiąca razy ognia dawały, ustały nagle. Landara zatoczyła się przed ganek; równie jak podwórze, i pokoje nabite przybyłymi gośćmi, a szczególnie szlachtą nowogródzką, która się niemal cała zbiegła pod chorągiew Radziwiłła.

Króla przez wielką salę hetmańską, której ściany wizerunkami Radziwiłłów całe były zawieszane, nie zatrzymując już (bo łatwo sobie mogli wżyscy znużenie jego wyobrazić), do przeznaczonych pokojów wprowadzono.

I król i wojewoda ostatkiem sił już dobili się tutaj; ale Radziwiłł miał nałogi i obyczaj myśliwca, nawyknięcie do krzepienia się napojem, do jedzenia obficie i pożywnie, a na wycieńczonego Poniatowskiego starosta piaseczyński czekał z filiżanką bulionu, jak naparstek.

Padł król w krzesło z westchnieniem...

\* \* \*

Zamek Nieświeski, któremu na wspaniałych i ogromnych salach, na złożonych ozdobach i

sprzętach kosztownych nigdy nie zbywało, za księcia Panie-kochanku nie stracił nic z dawnego przepychu, ale dosyć był zaniedbanym. Wojewoda ani dbał o elegancją, ani się na niej znał, ani o nią troszczył. Niekiedy stał długo pustkami i pyłem okryty, potem tłumne uczyły, na które, jak na ucztę ewangeliczną, powoływano seciny ubogiej szlachty, a ta, podchmielona, nie szanowała nic, — zabrukiwał się i zasmalał. Na przyjęcie więc króla zgoła prawie cały zamek odświeżać, objąć, oczyszczać, odzłacać i w nowy sprzęt musiano stroić. Poszły na to dziesiątki tysięcy, ale wojewoda nie żałował. Zapowiedział, że wszystko to być musiało poradziwiłowski.

Jakoż ci, co zamek zdawna znali, ledwie go odmłodzonym poznać mogli. Same apartamenty, dla króla przeznaczone, nanowo się przyoblekły z przepychem niezrównanym.

Szczególnie, wyświeżony i wspaniale urządzone był pokój audyencyonalny, francuskimi gobelinami na złotych i srebrnych tłach obity, w którym ustawiono tron po Janie III odziedziczony, a nad krzesłem dla króla zawieszony był piękny portret Stanisława-Augusta, dzieło Bacciarellego. We środku wielkie zwierciadło miało ramy srebrne i lichtarze misternej roboty, srebrne także. W sypialni ściany obleczono aksamitem ze złotem. Tu i w innych pokojach króla lustra wiszące, świeczniki, gierydony boczne, stoły, ekrany do kominów, starożytnej roboty, wszystkie srebrne. Łóżko w sypialni, o którym podanie było, iż je Jan III w podarunku otrzymał od króla Ludwika XIV, uderzało wspaniałością i smakiem. Pawilon jego i okrycie zdobiły bogate wyszywania srebrem i złotem.

Wprost z salki audyencyonalnej króla wyjście było do wielkiej sali, zwanej hetmańską, przyozdobionej wizerunkami hetmanów naturalnej wielkości, w całej postaci. Tu uderzał portret księcia Michała Radziwiłła, hetmana litewskiego i wojewody wileńskiego, na koniu, sprawującego przegląd wojska litewskiego przed Augustem III pod Zabłudowem, tkany, jak powiadano, w fabryce krajowej, czemu wiarę dać było trudno. Powątpiewającym o tem, gdzieby się na Litwie lub w Polsce tak doskonała rękodzielnia, wyrabiająca *arazze*, znajdować mogła, ukazywano inne szpalery na kilka pokojów, podobnegoż wyrobu, ze srebrnemi, szeroko wyszywanemi brzegami.

Król zaledwie krótką chwilę mógł spocząć; gwar w sąsiednich salach, przepełnionych gośćmi, zmusił go ukazanie się im przyśpieszyć. Kilka tylko słów zamienił z Komarzewskim.

— Jak ci się zda, Komarzesiu? Dotąd.. — Wszystko dobrze, — odparł jenerał — trochę się krzywiąc tylko. Do zbytku może tego dobrego, ale poradziwiłowski.

— Na wojennej stopie, — szepnął król, uśmiechając się — i mnie też na koń chcieli wsadzić koniecznie.

Komarzewski ramionami poruszył.

— Wszystko to już przebyte — odrzekł. — Zapał wielki, entuzjazm szczery, o tem się mógł gospodarz przekonać. Wiwaty głużyły niemal działa.

Nie czas było rozprawiać długo. Otwarto drzwi; król urzędowym uśmiechem przystroił usta i wyszedł z tym wdziękiem i elegancją, która mu zawsze towarzyszyła, nawet w najboleśniejszych życia chwilach. Ktoś, uśmiech ten widząc, później dowcipnie się wyraził, że u króla był on objawem

*gratiae status.*

Grono dam, oczekujące na króla tuż u drzwi z wojewodziną smoleńską Tyszkiewiczową na czele, nader świetne, kwitło pięknymi i poważnymi twarzyczkami, po większej części dawniej już znajomymi królowi jegomości. Celowały między nimi: księżna Massalska, Przeździecka, starościna mińska, Sołtanowa, chorążyna wielka litewska, Brzostowska, Rdułtowska, pisarzowa Morawska i panie nowogródzianki: Wojniłowi- czowe, Jabłońskie, Mierzejewskie, Zawiszyny, Kotłubajowe i t. d.

Po pierwszych przywitaniach, niewiadomo kto, zdaje się, że pani Morawska, siostra księcia, zwróciła uwagę króla na świeżo odmalowany umyślnie sufit ów Estki, który go tyle pracy kosztował. Stanisław-August, choć mu się może chciało uśmiechnąć, zmuszony był chwalić tę swą apoteozę i wyrazić wdzięczność, a razem podziwienie z tak szybkiego wykonania.

Widząc, jak Najjaśniejszy Pan zwrócił oczy do góry, wszyscy je skierowali na sufit i, za przykładem jego, admiirowali straszną zadrość, gieniusz domu książęcego, Cnotę, Mądrość i skrzydlate serca, palące się na ołtarzu.

To była jedyna pocziwego Estki nagroda za dni, spędzone na rusztowaniu z głową zawröconą do góry, od czego dotąd ból czuł w karku.

Król z wielką serdecznością starał się jenerałowej wdzięczność swą wyrazić za to uwiecznienie pamiątki bytności swej w gościnnym domu książęcym.

Tymczasem przytomne panie cisnęły się do ucałowania białej ręki pańskiej, bo drzwi jadalnej sali (zwanej salą Wiśniowieckich) otwarte już były i obiad podawać miano zgłodniałym i znużonym. Zastawiono go z przepychem i okazałością, w smaku owego czasu, wśród taflı zwierciadlanych, figurami z porcelany i srebra, kwiatami i piramidami z cyfrą i herbami króla. Rozdzielono towarzystwo na dwie części. Króla otaczały damy przy głównym stole i część rodziny Radziwiłłów, gdy druga gospodarowała u stołu, od którego zkolei goście zapraszani byli do królewskiego. Tu zasiedli: książę wojewoda, brat jego podkomorzy, książęta Józef, Albrecht, Antoni, Maciej, Sapieha, jenerał artyleryi, wojewoda ruski Potocki, Morawski, Sołtan, chorąży, Rzewuski, Brzostowski, wojewoda inflancki i t. p.

Oprócz dwu głównych, w innych salach zamkowych, stołów, było rozmaitych dla pośledniejszych gości, duchowieństwa i szlachty, bardzo wiele, a naostatek, co się tu pomieścić nie mogło, trzy stoły w kolegium jezuickim przyjęły, gdyż na seciny liczyli się przybyli do Nieświeża, a wojewoda nikogo nie ugościwszy odpuścić nie chciał.

Książę-wojewoda wznioł zdrowie króla przy odgłosie dział, trąb i muzyki, a król odpowiedział wiwatem wojewody i zdrowiem księcia Hieronima a rodziny całej.

Kielichy rozjaśniły zaraz twarze, rozwiązały usta i wojewoda, który z królem czuł się przed- tem nie swoim i zakłopotanym, sam począł na swój sposób zabawiać ukoronowanego gościa, który wesoło i swobodnie mu odpowiadał. Tak się zdała przynajmniej wydawać mogło, choć król Radziwiłła mało co słyszał, a ten Najjaśniejszego Pana nie bardzo rozumiał, co nie przeszkadzało w

wielkiej harmonii zabawiać się wzajem do końca uczty. Król nawet, do kielichów niezwykły, parę ich wychylić musiał i twarz jego blada żywym się rumieńcem okryła.

Królowi wprawdzie po obiedzie parę razy wymknąć się dozwolono do jego apartamentów, pod pozorem ekspedycyowania pilnych, czasu stołu przywiezionych korespondencyj, ale dnia tego obowiązki nie zakończyły się obiadem.

Damy, które nie miały szczęścia być prezentowane królowi, zażądały od Morawskiego, aby je przedstawił; potem słuchać trzeba było koncertu, potem bal rozpocząć z wojewodziną smoleńską, zastępującą gospodynią i inne panie też zaszczyścić przechadzką po salonie.

Naostatek musiał król sięść do kolaski z Tyszkiewiczową dla oglądania wspaniałej iluminacji, w której blaskach gorzał Nieśwież cały. Mówiono, że około pół miliona lamp paliło się na wałach, grobli, pałacu, ratuszu, rynku, kościołach i głównych budowach. Było już blisko północy, gdy naostatek król z Komarzewskim wysunął się do sypialni, a książę ze swymi wiernymi akolitami — do gabinetu, w którym srebrna beczka oczekiwała na spragnione usta sług bachusowych.

— A co? A co? — odetchnął książę wojewoda, pierwszy kielich augustowski wychyliwszy i otarłszy usta. — Cóż mówicie? He?

Rzewuski stał przed księciem, w boki się wzięwszy.

— Ale cóż bo wasza książęca mość z nas sobie żartujesz, pytając? — zawołał. — Wszystkich nas i całą Litwę i Koronę zdumiłeś wystąpieniem królewskim, przepychem, wspaniałością! Jeden jest głos tylko, że nic podobnego nie widziano u nas. Król zmieszany i niemal upokorzony; jego dwornia nosy powieszają.

Wojewoda, dał znak Rzewuskiemu, aby się zbliżył do niego, i coś mu do ucha, śmiejąc się, szepnął. Pan Seweryn rozśmiał się także i zapito nowym kielichem. Wojewoda był w humorze brylantowym, ale spragniony i zmęczony, więcej słuchał, niż mówił, bo rozmowa go nużyła. Wszyscy się na to zgodzili, że Radziwiłł wystąpił poradziwiłłowski!

Nim do obiadu zasiedli goście, książę sobie przypomniał Poniatowszczyka! Czoło mu się sfałdowało! Do licha! Gdyby ten utrapieniec wszystkie piękne plany dysharmonijną nutą skrzyżował...

— Zawołać Monikę do przedpokoju! — rzekł do pokojowca pośpiesznie.

W chwili potem dziewczę wpadło zdyszane. Książę mrugnął oczyma.

— A co?

— Siedzi! — zawołała, śmiejąc się.. Wojewoda palce na ustach położył.

— Patrzajże! Aż do wyjazdu! Bo... no... już ty to rozumiesz. Pilnować, aby się nie wymknął.

Monika miała czas zaledwie skłonieniem głowy zapewnić księcia, że rozkazy jego spełnione zostaną — zniknęła.

Co się z biednym Filipem działo, który płynął, płynął z żaglem nadziei pełnym, a na brzegu utonął — opowiedzieć trudno. Czuł się zgubionym, nietylko przez to, że mu się do króla dostąpić nie powiodło, lecz, że za sarnę myśl tę obawiał się być przez księcia ukaranym. Miał więc w przyszłości ekspektatywę straty miejsca w dodatku. Wszystkiemu temu (jak sądził), musiał być winien Szerejko — nie chciał sam obwiniać siebie.

Wyobraźnia oprócz tego roiła jeszcze gorsze następstwa, bo wieczorem spodziewał się być przeprowadzonym albo do kordegardy, lub poprostu do zamkowej wieży. Nie mógł przypuścić, ażeby go tu w mieszkaniu panny, wśród fraucymeru, pod strażą hajduków trzymano. Z trwogą wyglądał nadchodzącego wieczora. Tymczasem miłosierna jakaś ręka niewieścia podała mu z południa parę misek pełnych mięsiwa i dobrze przyprawionego jedzenia.

Mimo zmartwienia, Filip na zapas, przewidując strawę więzienną, choć wzdychając, sprzątnął wszystko, a że wino stało na stole, zapił dobrze na frasunek. Następstwem tego było, że ciężko biadając, zdrzemnął się i spał do wieczora. Światła ani śmiał prosić, ani mu go dano, ale raz jeszcze dostał wieczerzę, a przez okno wpadający odbłask iluminacyi, dostatecznie przyświecał.

Lada chwila potem, za każdym szelestem u drzwi wyglądał, azali go nie przyjdą hajducy przeprowadzić do więzienia, ale noc nadeszła, iluminacya przygasła, dokoła ucichać zaczęło — nie przychodził nikt i biedny Filip, nie rozbierając się, aby być na wszelki wypadek gotowym — zasnął na krześle, głowę położywszy na stole, a nad rankiem rozmarzony, na łóżko panny Moniki się rzucił i głębokim snem ujęty, otworzył oczy dopiero, gdy już dzień był jasny, a u drzwi ręka kobieca dawać mu poczęła znaki, które zapowiadały śniadanie!

Przeprowadzenie więc, sądził, odłożonem zostało. Filip przeżegnał się, pacierz zmówił pobożnie, umył się trochę i zasiadł posilić się, przewidując zawsze, iż sił potrzebować będzie.

Gdy się to działo w izdebce panny Moniki, mianowanej stróżem więziennym, Szerejko, który zawczasu się cieszył doskonałym figlem, jaki razem księciu i królowi miał spletać, dnia poprzedzającego już podwakroć zabiegał do mieszkania Rusina, nad masztarniami, pukał, dowiadywał się i tyle tylko doszedł, iż Filip się zrana oddalił, nie powrócił więcej, i że miejsce jego zastępował podkoniuszy Wistoszewski.

Szerejko mało go znał, lecz zmuszonym był, szukając informacyi, której nikt mu dać nie mógł, udać się do niego.

Wistoszewski, dzielny kawalkator, a zresztą *simplex servus Dei*, który niedaleko widział i nie trudził się odgadywaniem niczego — niewiele się też troszczył o Filipa, którego mu zastąpić polecono.

— Przepraszam pana podkoniuszego — zagadnął wchodząc do jego mieszkania Szerejko. — Nie wiem, co się stało z Rusinem, a mam potrzebę go widzieć.

Wistoszewski podniósł głowę, zajęty był właśnie krajaniem wędzonej kielbasy, mającej służyć za zakąskę po wódce.

— He! — odparł. — Co się stało z Rusinem? Albo ja wiem! Musiano go użyć gdzieindziej, bo tu teraz Zarwańska ulica u nas... jak Boga kocham! No, nie wiem, musiał go książę do Alby komenderować, albo... albo lichy go wie.

Szerejko stał.

— Powinienby powrócić.

— Pewnie! — zawołał podkoniuszy — i daj Boże, aby co rychlej powrócił, bo zastępować go, nie moje miejsce.

— A jak się panu podkoniuszemu zdaje? — dodał niespokojny Szerejko.

— Mnie bo się nic nie zdaje — rozśmiał się Wistoszewski. — Powiadam wam, u nas teraz rozgardyasz taki, że człowiek ani wie, gdzie się i jak obrócić, a słuchać potrzeba, bo książę zapowiedział: najmniejsze nieposłuszeństwo — fora ze dwora.

Skrzywiwszy się Litwin uklonił i nie chcąc być na zawadzie swobodnemu pożywaniu kielbasy — odszedł.

Koniec końców, od Wistoszewskiego się nic nie dowiedział, a chciał dojść koniecznie, co się stało z Poniatowskim. Korzystając więc z tego, że nie był zajęty, bo mu nic jakoś nie zlecono i jakby zapomniano o nim, ruszył na zwiady. Zmuszonym był ślad w ślad iść po tropach znikłego Filipa. Doszedł, że zrana widziano go szybko się udającego ku fraucymerowi, a tu nie do kogo innego mógł się udać, jak do panny Moniki. Jakoż od dziewcząt się dowiedział, iż go widziano wchodzącym do niej, ale wychodzącego nikt nie postrzegł.

Szerejko się tak ustawił na przesmyku pewnym, iż z Moniką spotkać się musiał koniecznie. Stał i czekał.

Jakoż ku południowi już spostrzegł ją przemykającą się i zabiegł jej drogę.

— Niech mi panna Monika powiedzieć raczy, — zawołał, witając ją — co zrobiła z Filipem. Mam bardzo pilną do niego potrzebę.

Dziewczę rumieniąc się spojrzało mu w oczy, ale musiał dobrą chwilę czekać na odpowiedź. Monisia potrzebowała skłamać i chciała to uczynić zręcznie. Czując, że zostawując Szerejkę w niepewności, pobudzi go tem do poszukiwań nowych, które zwrócić mogą uwagę na Filipa.

— Jesteś waćpan jego przyjacielem? — zapytała.

— Lepszego pewnie nie ma nade mnie — odparł Szerejko.

— Mogę więc waćpanu to zwierzyć, że księciu doniesiono coś na pana pisarza — poczęła cicho Monika. — Waćpan jako przyjaciel znasz jego nazwisko. Hm! Hm! Domyśl się. Ja tyle wiem, że go książę przytrzymać kazał, ale nic mu się złego nie stanie.

Szerejko udał nadzwyczaj zdziwionego.

— Nazwisko jego wiem, — rzekł — ale czegoż się książę mógł obawiać?

Panna Monika dziwną zrobiła minkę.

— Nie wic panna Monika, gdzie go posadzono? — spytał Litwin.

Dziewczę musiało być ostrożnem.

— Bądź pan spokojnym, — rzekła, uśmiechając się — nic mu się nie stanie, no... a ja, gdybym i wiedziała gdzie go posadzono, powiedzieć nie mogę.

Zatuliła sobie usta ręką. — Nic mogę.

Szerejko się tem nic dał odprawić. Zbliżył się ku niej i szepnął:

— Ależ ja nie zdradzę!

Spojrzał czekając odpowiedzi, ale panna Monika pierzchnęła.

Litwin pozostał sam, kwaśny i zmieszany. — Wpakowali go do ciupy — dumał — a on wszystko złożyć gotów na mnie, zem go namówił. Rzeczy się komplikują. Gdybym mógł się z nim zobaczyć?

Szerejko tak był zakłopotany, że całej wspaniałości przyjęcia, wjazdu, orszaku prawie nie oglądał, a to co widział, nie utkwilo mu w pamięci wcale.

Wyrzucał sobie to, że Filipa naraził, chociaż jemu przypisywał, że się wszystko wydało przed czasem.

Chodził tak, szukając w głowie jakiegoś ratunku, gdy dwór króla, którego część poprzedziła na zamek Najjaśniejszego Pana, zajechał w podwórze i pod dowództwem starosty piaseczyńskiego, począł się rozmieszczać w przygotowanych pokojach.

Trzej paziowie króla także tu byli. Szerejko się im przypatrywał zdala, gdy go jedna fizygnomia uderzyła. Była to wesoła i figlarna twarzyczka jednego z paziów — Belgrama.

Szerejko znał go i z rodziną był spowinowacony. W czasie, gdy on się przypatrywał Belgramowi, ten też poznał Litwina, zresztą nadto charakterystycznego, aby nie utkwil w pamięci i podstąpił ku niemu, wołając:

— He! Jak Bóg miły! Szerejko albo dyabeł... — Nie dyabeł, ale ja, — odparł wesoło uradowany dworak radziwiłłowski. — Anim wiedzał żeś ty w paziach!

— Z łaski ciotki — śmiał się Belgram. — Ściskali się.

— Tyś tu miejscowy, — począł Belgram — kładę na was areszt. Na miłego Boga, bądź mi



mentorem, a jeżeli masz co dać jeść — bom głodny. Od Rdułtowskich wyjechałem po cienkiej kawie.

— Jeść! — śmiał się Szerejko, prowadząc go. — Jeść i pić w Nieświeżu nigdy nikomu nie brakło.

Tak się odnowiła znajomość, i Szerejko bardzo z niej rad, powiedział sobie, że Belgrama zużytkuje dla uwięzionego Filipa.

\* \* \*

Nazajutrz na programie stało oglądanie skarbcza radziwiłłowskiego. Czem były owe skarbcze wielkich a starożytnych domów, dziś trudno dać wyobrażenie. Właściwiej nazwać je było można małymi muzeami starożytności i osobliwości wszelkiego rodzaju, począwszy od kości wielkoluda, od rogu jednorożca i olbrzymich rogów żubrów i łosi, od cudownych pasów ze skór zwierząt bajecznych, aż do obrazów i posągów, wszystkiego tam było pełno. Wszakże bronie, oręża, zbroje szczególnie je przepełniały.

Z pokolenia w pokolenie przechodziły dary papieży, królów, zdobycze wojenne, nabytki za granicą czasu podróży. Brano z nich wprawdzie na podarki, które były u nas tak bardzo w obyczaju, iż się rzadko odwiedziny gości bez nich obeszły, ale co najszacowniejszego, pozostawało dla rodziny.

Z dawnych testamentów mieć można niejaki wyobrażenie o tych gazofilacjach polskich, ale nic o skarbcu rodziny takiej, jaką była radziwiłłowska. Fantazya, na której nie zbywało członkom jej, podróże, dary monarchów — skupiały tu najróżnorodniejsze przedmioty niesłychanej ceny i rzadkości. Świeżo spadek po Janie III zbogacił nieświeskie zbiory cennymi pamiątkami wypraw króla przeciw Turkom.

Ale czegoż tu nie było w tych trzech salach ogromnych, poczynając od znacznej ilości obrazów, gobelinów, aż do dwunastu koni drewnianych, przyodzianych w rzędy, siodła i zbroje niewidzianego przepychu i piękności.

Same klejnoty, kity, spinki, sadzone drogiemi kamieniami pasy, pierścienie, zegarki, naszyjniki, kolce — pańską fortunę reprezentowały. Oprócz tego laski marszałkowskie, buławy hetmanów, buzdygany, kosztowne sahajdaki i tarcze, koncerze w pochwach złotych, zbroje i szyszaki złote i złoczone, miecze poświęcane, szycia drogie, koronki; naostatek mumie egipskie, oręża dzikich Indyan, starczyły na zajęcie kilku godzin czasu w sposób przyjemny i zajmujący. Ks. Hieronim, generał Morawski, a dla objaśnień kapitan de Ville, mający straż nad skarbcem, towarzyszyli tu królowi, który miał z sobą Komarzewskiego.

Sam książę-wojewoda, zajęty Gibraltarem, Albą, przygotowaniami do łowów, uwolnił się od

znajdowania przy gościu, poleciwszy tylko p. de Ville, aby wszystko, coby król chwalił i co mu się podobało, naznaczał. Zamiarem było księcia uczynić mu z tego ofiarę.

Oglądano więc najprzód nagromadzone w pierwszej sali, szczególnie flamandzkie obrazy, różnego czasu i pochodzenia. Król jako znawca i miłośnik, rzucił się do oglądania z wielkim zapalem, poczynając wychwalać i kłaść sławne imiona mistrzów, gdy Komarzewski zlekka go potracił.

— Najjaśniejszy Panie, — szepnął — widzę, że de Ville kredkąaczy wszystko, co wasza królewska mość chwali. Lękam się... Król zrozumiał i ostygł natychmiast. Obrazy Wistocie piękne i szacowne, na których tu się nikt nie znał i nie przywiązywał do nich wagi, zajmowały górną część ścian w dwóch pierwszych salach. Z chęciąby był je król pilniej oglądał i niemi się zabawiał, ale kredka kapitana de Ville go odstraszyła.

Prowadzono dalej. Książę Hieronim milczący, mało co do objaśnień dodawał, a wojewody nie było, który w skarbcu czasami dziwolągi prawił pod dobry humor i do pamiątek dodawał historye przez siebie zmyślane, coraz nowe.

Sam on może, znając słabość tę swoją, wymówił się od oprowadzania, chociaż oglądanie z jego komentarzem nierównieby zabawniejszem było. Tak naprzykład egipskiej mumii, jak książę się wyrażał, egipskiego szlachcica, panie - kochanku znał całą historią, podobną do powieści z tysiąca i jednej nocy; róg jednorożca był łupem jego własnych łowów, orężę indyjskie chwalił się, że sam przywiózł od dzikich, u których z wielkimi honorami był przyjmowanym.

Kapitan de Ville skromniej tłumaczył to - wszystko, choć często niewiele umiejętniej. Około klejnotów i precyozów, monstualnych pereł i rubinów, jak wołowe oczy, król przeszedł zimno, ledwie je darząc wejrzeniem. Pomiedzy innemi pamiątkami familijnemi, otworzono szafę, poświęconą księciu Mikołajowi Sierotce, w której złożone były suknie, zbroje, rękopisma, pieczęcie.

— Bardzo jestem szczęśliwy, — odezwał się król do kapitana — że do tego szacownego zbioru coś będę mógł dołożyć. Mam janczarkę z cyfrą i herbami jego, którą pozwolicie abym złożył, gdzie ona najwłaściwiej się mieścić powinna.

Książę Hieronim podziękował.

Przez Sobieskich, znalazły się tu i pamiątki po Żółkiewskim, naostatek zdobycze wiedeńskie i dary francuskie, gdy Ludwik XIV niezręcznie sobie usiłował Jana III pozyskać.

Jakkolwiek pośpieszano, pomijając wiele rzeczy, choć de Ville skracał objaśnienia, zawsze kilka godzin zajął powierzchownie tylko widziany skarbiec.

Ogromnego zbioru kielichów weneckich, pucharów, roztruchanów złotych, czasz i naczyń do picia, rozstawionych na półkach, po szafach, wcale rozpatrywać nie było czasu, ani rzeźb z kości słoniowej i drzewa, w znacznej też ilości, bo książę sam toczeniem i rzeźbieniem zabawiał się dawniej.

Tokarstwo — na dworze saskim zabawka panujących tak ulubiona, że August II do Afryki po

drzewo i kość posyłał umyślnie, było modą w owym czasie i rozrywką osób wielu. Miał też tokarnię książe-wojewoda i za jego roboty uchodziły misterne tabakiery i pudełeczka złotem wykładane, którymi czasem przyjazne osoby obdarzał.

Podziękowawszy księciu Hieronimowi i kapitanowi, król wymknął się ze skarbcza, oświadczając chęć przechadzki po wałach zamkowych, dla odetchnienia świeżem powietrzem i oglądania starożytnych dział, ustawionych na bastyonach. Były to owe olbrzymie kartany, które tak głośno przybycie jego głosiły światu.

Szedł z królem książe Hieronim, a kapitan, wiedząc, jak książe ciekaw będzie wrażenia, jakie uczynił skarbiec, pobiegł z raportem do niego. Wojewoda, spostrzegłszy go, odciągnął na stronę.

— A co? A co? — spytał.

— Oglądał wszystko z poszanowaniem, — rzekł de Ville — dziwił się.

— Chwalił? — wtrącił książe.

— Niezbyt. Ktoś go przestrzec musiał — rzekł kapitan. — Unosił się tylko nad kilku obrazami.

— Notowałeś? — A jakże!

— Odesłać mu je.

— Król do skarbcza też zrobił ofiarę z janczarki księcia Sierotki — rzekł kapitan.

— Zkądże ją wziął? — zamruczał wojewoda i zamilkł. — Żałuję, że ja mu sam skarbcza pokazywać nie mogłem... a waćpan z księciem Hieronimem nie umieliście jak należy objaśniać.

I książe ciągnął dalej sam do siebie:

— Byłbym mu opowiedział historią egipskiego szlachcica, który ma na łbie szramę od karabeli. Książe Hieronim pewnie złotych cegieł nie pokazał, ani...

Machnął ręką.

— Dokąd poszedł?

— Na wały.

Tymczasem do pokojów przez króla zajmowanych zeszły się województwa i powiaty, którym książe miał przewodniczyć, aby pojedyncze osoby prezentować. W tem miał go książe Hieronim wyręczyć.

Król, powracając, zastał już pokoje napełnione i najprzód zbliżył się z podziękowaniem do gospodarza.

— Najjaśniejszy panie... kochanku — wyrwało się wojewodzie — przepraszam, bo wiem, że mi się brat i pan kapitan nie spisali, nie pokazali jak należy ciekawości naszym.

Nie dano im rozmawiać długo, czemu książę rad był może, bo, choć król starał się do niego zastosować, jakoś im z sobą nie szło różnie. Wojewoda się wyrażał o tem:

— To tak, panie - kochanku, jakby kto sprzął dwie szkapy różnej krwi... jeden — kark, drugi — boki namulać musi.

Oba jednak, gospodarz i gość, dalej brzemie swe dźwigali napozór ochoczo, król z wesołością, książę z powagą wielką.

Po obywatelach nastąpiły obywatelki, z wojewodzina smoleńską, otaczające Najjaśniejszego Pana. A tuż marszałek oznajmił, że dano do stołu. Książę - wojewoda odetchnął.

Stoły jak wczoraj były zastawione i przyozdobione, tylko ze skarbcza wydano inne figury i ornamenta.

Obiad z wiwatami przeciągnął się dosyć długo, a kawie towarzyszył koncert śpiewaków, śpiewaczek i wirtuozów, na wszelkich możliwych instrumentach popisujących się.

Jenerał Komarzewski, widząc króla wielce znużonym, wyciągnął go na spoczynek do jego pokojów, pod pozorem pilnych korespondencyj, i parę godzin dał mu odetchnąć. Pozostawało dla ukończenia dnia wysłuchanie opery, przypatrzenie się baletowi, który reprezentował historią Orfeusza i Eurydyki. Można sobie wyobrazić, jak tańczona podróż do piekieł wyglądała.

Opera — wiersze i muzyka, w stylu wieku, były dziełem księcia Macieja Radziwiłła. Jakże nie było obsypywać oklaskami tego arcydzieła, wykonywanego siłami własnymi, przez artystów, z gminu wybranych, wyuczonych i popisujących się w wyszukanych gorgach i skokach, choć los ich do grabi i cepu przeznaczał. Ta metamorfoza chamskiego plemienia jednała księciu nadzwyczajne pochwały. Dziewczęta były bardzo ładne, parobczaki silni i zręczni; nauczyciele dzielnie około ich pleców chodzili i balet szczególnie, zdaniem wszystkich, zdumiewającej był zręczności.

W końcu baletu ukazało się na scenie popiersie króla, ponad którym z tafli kryształowych krążące słońce oblewało je blaskiem wielkim, a baletnice i baletnicy u stóp jego składali wieńce i palili wonne ofiary. To słońce, bardzo misternie ukształtowane, i zakończenie widowiska, wywołały oklaski i okrzyki ogromne. Było już północy blisko, gdy się to wszystko skończyło, bo książę Maciej muzyki, a Petyneti i Łojko nóg tancerzy nie żalowali. Teatr tę tylko miał wadę, że wszystkich spragnionych oglądania go nie mógł pomieścić i wielu, za drzwiami pozostawszy, musiało się konsolować kielichem.

O północy w dwu pokojach zamkowych odetchnęli razem książę wojewoda i król, radzi, że dzień szczęśliwie się skończył.

Na zapytanie: "A co, panie-kochanku?" Rzewuski odpowiedział gorąco:

— Czegoż się książę tak niepokoisz? Idzie wszystko, jak po maśle. Monarchicznie występujesz!

Król musi być wdzięczny i zdumiony...

— Ale bo — przerwał książę — ty mnie nie rozumiesz, panie-kochanku. Wszystko powinno iść tak gładko, ślicznie, pańsko, a on... on... hm! powinien czuć się upokorzonym... ot co! Cóżem ja temu winien, jeżeli go moja potęga i bogactwo ukolą i zabolą? Hm!.. A zabołeć powinny. Ja o tem, panie -kochanku, niby nie wiem, ale ja tego chcę!

Rozśmiał się Rzewuski.

— Jeżeli księciu o to chodzi, aby był upokorzony, — rzekł — bądź spokojnym, uczuje swoją nicość. Czuł ją w radziwiłłowskim skarbcu, czuje na zamku, na każdym kroku... Ubożuchnym i maluczkim się tu wydaje!

Książę pokilkakroć głową potrząsł, potwierdzając, że tego właśnie sobie życzył. Rozmowa zwróciła się na program dnia następującego.

W tej samej chwili król szeptał Komarzewskiemu:

— Dni dwa już przełknęliśmy szczęśliwie, Komarzesiu. Jawna rzecz, że tym przepychem książę mi chce dać uczuć swą potęgę, a moją królewską słabość i ubóstwo. Cała sztuka — tego nie rozumieć.

— Najjaśniejszy Panie, — przerwał Komarzewski — nie wiem, co tam książę myśli i czy zamierza to, o co go posądzamy, ale rachuba omylna, bo oczy szlachty i obywateli nie na niego, ale na waszą królewską mość są zwrócone. On tu znika, jego nie widzi nikt. Nasz pan górą!

Poniatowski uściskał go milczący.

— Cóż tam nas dalej czeka? — odezwał się. Jenerał pomyślał.

— A no, łowy i zdobycie Gibraltaru, — odezwał się, śmiejąc. — Gibraltar jest własną inwencyą księcia jegomości; potrzeba więc wielkie nagotować pochwały za to, śmieszne przedstawienie.

Ruszyli ramionami.

— Nie mogę w tem nie widzieć trochę złośliwości, że mnie to na konia chce sadzać, to na niedźwiedzie prowadzić, choć z pewnością, wie, że jedno i drugie najmniej zabawić mnie może.

Biskup Naruszewicz, który siedział z książką opodal, wstał, powołując do spoczynku.

— Słyszę, że mowa o niedźwiedziach, — wtrącił — ale oddajmyż *suum cuique*: nie samemi nas niedźwiedziami łapami karmić myśli, przecież archiwum owo wielkiego księstwa litewskiego, największy skarb, jaki mają Radziwiłłowie, otworzyć nam i okazać obiecują.

— Widzę, że wojewoda pozyskał sobie serce waszę, — dodał król. — Ale nie sądzcie, abym i ja go cenić nie umiał. Mój Boże, gdyby zamłodu inszymi otoczono go towarzyszami, coby to za pożyteczny mógł obywatel dla kraju z niego urosnąć! Wielka miłość sławy i ambicya, a przytem takie

środki!...

Pomiędzy urzędnikami, którzy w pomoc zostali przywołani dla ukazywania archiwum, znajdował się i zastępujący bibliotekarza Szerejko rad temu, że się bliżej przypatrzeć będzie mógł Najjaśniejszemu Panu, bo dotąd zdaleka tylko mu się przyglądał.

W archiwum, które nie radziwiłłowskiem, ale głównem całego księstwa litewskiego zwać

Król w Nieświeżu. się mogło, przechowywano, jak wiadomo, za przywilejem Zygmunta Augusta, oryginały wszystkich dyplomów, akt, korespondencyj tyczących się spraw w. księstwa. Szczycili się Radziwiłłowie nie bez przyczyny, że ich domowa straż tego skarbu była powierzona. Archiwum też z wielkiem staraniem i poszanowaniem było utrzymywane. W sklepionych izbach szafy zamczone, zawierały mniej więcej chronologicznie ułożone pergaminy z przywiesistemi pieczęciami, w srebrnych, złotonych, mosiężnych oprawach, w skórzanych futerałach, w bogato ozdobionych zwiłkach, przypominających starożytne rękopisma.

Oprócz tego całe szeregi tomów na półkach poustawianych, zawierały wedle dat i pochodzenia korespondencyę panujących, papieżów, książąt i osób dostojnych a sławnych.

Na wielkim stole wpośrodku, przy którym dla króla ustawiono krzesło obite aksamitem ze złotemi frezami, porozkładane już leżały najciekawsze i najstarsze, pożółkłe arkusze z różnokolorowemi sznurami jedwabnemi i pieczęciami.

Biskup Naruszewicz i towarzyszący mu sekretarz króla ks. kanonik Gawroński, wchodząc, poskładali ręce pobożnie, jakby próg przybytku przestępowali, i był to Wistocie przybytek po - święcony tej przeszłości, która naówczas jeszcze i dziś może, niema i uszpona leżała tu siedmiu zawarta pieczęciami, czekając tego, coby ją do życia powołał.

Naruszewiczowi oczy na chwilę zapalały. Cóżby to tu za obfity materiał do tek jego mógł przybyć! Jakby tu ks. Albertrandi wpuszczony długo mógł zamieszkiwać, grzebiąc się w tym świecie papierów.

W milczeniu poszanowania pełnem weszli wszyscy za Najjaśniejszym Panem, którego tu witał Bernatowicz i kilku pomocników, kustoszów, skryptorów i t. p.

Król obszedł najprzód komnaty, rozpatrując się po półkach i wiodąc za sobą biskupa. Siadł potem u stołu oglądać oryginały nadań, od Jagiełły poczynając. A były tu i starsze listy i przywileje. Z czasów pierwszej unii horodelskiej, która właściwie potwierdziła tylko to, co przy wstąpieniu na tron Jagiełły umówionem zostało, z późniejszych elekcij w. książąt wszystko, co się na kartach zachowało, znajdowało się tutaj. Czasy Witoldowe, zjazd w Łucku, korespondencye z Zygmuntem cesarzem, czekały na dziejopisa.

Naruszewiczowi, który z gorączkową cieka- wością chwycił oryginały znanych sobie aktów, oczy to się świeciły, to zachodziły mgłą.

— Życia nie starczy na wyczerpanie tego! — szeptał. — Siły jednego człowieka nie podolają, a

krom Albertrandego, któryż kopista nie czyta fałszywie i nie bruździ omyłkami! Nietylko robić, ale wszystko przerabiać potrzeba! Z popiołów kości naszych narodzą się może historycy, a nasza dzisiejsza praca będzie dla nich nawozem i pognojem.

Westchnął.

Król tymczasem przypatrywał się to notaryuszowskiemu figlom kaligraficznemu na starych pergaminach, to pieczęciom, zachowanym dobrze w otulających je kapsulach, to ozdobom artystycznym nowszych skryptów. Kilka starożytnych rękopismów z miniaturami, między innymi piękna biblia łacińska leżały rozłożone do oglądania.

Z woluminów korespondencyjnych ktoś nagotował te, w których były listy Marcina Lutra i Kalwina. Naruszewicz spojrział na nic i westchnął.

— Wczas się Radziwiłłowie nawrócili z tej drogi, — szepnął — ale ślad odbytej ospy pozostał.

Król i ci, co z nim byli, daleko dziś wśród tych papierów żywsze okazywali zajęcie i ciekawość, niż wczoraj dla rubinów i dyamentów, i z pewnością zapomnieliby się tutaj, tak wiele mieli do oglądania, gdyby król programu dnia nie miał w pamięci. Godziny biegnęły tu szybko. Naruszewicz za ledwie okiem mógł rzucić na najgłówniejsze i najstarsze dyplomy, a już mu nowe podsuwano. Bogactwo było niewyczerpane.

— I w tym skarbcu — szepnął królowi — nikt się z nimi nie może mierzyć.

W milczeniu, które przerywał tylko szelest przewracanych kart i przesuwanych ksiąg, z poszanowaniem dla tych weków, których tu szczątki złożone były, strawił król godzin parę, coraz coś znajdując godnego uwagi i rozpatrzenia.

— Z całego żywota ludzkiego — rzekł wkońcu dziejopis-poeta — oto co pozostanie. Na wiotkiej karcie kilka cyfr, których wnuki albo wyczytać nie umieją, lub zrozumieć nie mogą!

Wkońcu, pomimo, że się przedmiotów do oglądania nie przebrało i starczyłoby ich na długo jeszcze, król, spojrzawszy na zegareczek swój, powstał, dziękując Bernatowiczowi i wszystkim.

Biskup ks. pisarz litewski wysunął się za nim smutny. — Człowiek przez całe życie uczy się tego, że nic nie umie, — rzekł wkońcu — im głębiej się kopie, tem jaśniej to widzi; tylko ci, co się ślizgają po powierzchni, radzi są z tego co mają.

Zamiast powrócić do swoich pokojów, król zażądał odwiedzić wojewodzinę smoleńską, zastępującą gospodynią i księcia wojewodę. Wizyty te obie zdradzone były wcześniej, aby obojga nie schwyciły niespodzianie.

Wojewodzina ubrana już, z kilku damami czekała w progu swojego apartamentu. Król uśmiech urzędowy przywdział znowu, rozjaśnił oblicze posępne i z galanterią witał panie, ciskające się do ucałowania jego ręki.

Zabawiwszy krótko, szedł potem do księcia wojewody, który także powitał Najjaśniejszego

gościa w progu mručeniem wdzięcznem. Książę Hieronim, cały zastęp Radziwiłłów i powinowatych był przy wojewodzie.

Rzut oka na ściany pokoju, w którym wojewoda przyjmował, mógł przekonać, że króla się tu spodziewano. Wielki portret Najjaśniejszego Pana, ojca jego, matki, braci, sióstr, prymasa, a nawet ulubionej siostrzenicy Mniszchowej i jej męża zdobił komnatę, zresztą umyślnie skromnie przybrana, aby przepych królewskich apartamentów lepiej się czuć dawał.

Radziwiłł już po małym śniadanku, był w humorze wyśmienitym i usposobieniu do gawędy żartobliwej a dziwacznej, jakie tylko w kółku poufałym swobodnie się objawiało. Królowi też nic miłszem być nie mogło nad tę poufałość, której sobie życzył.

Posadzono króla w krzesło, przy którym tuż mały stoliczek umyślnie przygotowany, zawierał kilka wyrobów delikatnych i bardzo starannie wykonanych z kości słoniowej, bukszpanu, drzewa cytrynowego i różanego.

— Najjaśniejszy Panie, — odezwał się wojewoda, biorąc w rękę jedną z tabakier leżących na stolyczku — ja też się waszej królewskiej mości pochwalić muszę, że nie zawsze próżnowałem. W moich peregrynacjach po świecie w których, panie-koch... Najjaśniejszy Panie, różnego się szczęścia i biedy doznawało, musiałem się przez czas jakiś tokarstwem zabawiać, aby mieć co jeść. Ale tak! Tak! Mówił coraz poważniej. Pewien Chińczyk mnie uczył tej dłubaniny, ręce miałem nie tak obrzękłe, jak dziś, dosyć, żem sobie tem zarabiał na życie.

Uśmiechali się wszyscy, spuszczać oczy; ks. wojewoda ciągnął dalej niezmiyszany wcale. — Otóż z tychto czasów, panie-koch... Najjaśniejszy, pozostały mi robótki. Gdybyś wasza królewska mość przyjąć raczył.

To mówiąc, otworzył próżną tabakierę złotem grubo wewnątrz wykładaną, po wierzchu z kości słoniowej przezroczyście wyrobioną, nader kunsztowną, i podał ją królowi.

Trudno było uwierzyć, ażeby ją żywy, niecierpliwy i ciężki książę sam miał wyrobić, ale wątpliwości okazać nikt nie śmiał, a król, biorąc tabakierę, oświadczył, że to była najdroższa i najmiłsza dla niego pamiątka pobytu w Nieświeżu.

Towarzysze królewscy zbliżyli się do stoliczka oglądać inne leżące tu pomniejsze sztuczki, a wojewoda drugie pudełeczko mrużąc, wcisnął w rękę Komarzewskiemu.

— Tokarnię zawsze mam pod ręką, — dodał — wskazując drzwi drugiego pokoju otwarte, do którego król wszedł z ciekawością. Wistocie pokój ten cały był pracownią tokarską.

Różnej wielkości warsztaty ustawione znajdowały się dokoła, każdy z nich ze swym przyborem dłut, narzędzi różnych i materiału potrzebnego.

Między innemi, znajdowała się tu dosyć skomplikowana machina do rzeźbienia numizmatów i płaskorzeźb, jakoby zrobiona i skoncypowana w Nieświeżu, która wojewoda także królowi ofiarował.



— Ja to waszej królewskiej mości poszle do Warszawy, — rzekł — bo ręczę, że w mennicy nawet podobnej nie mają.

Król się skłonił.

— A ja pierwszy medal, który na niej Regulski wyrobi, każę wizerunkiem księcia przyzdobić.

— Byle nie podług Norblina, — rozśmiał się książę — bo ten mnie tak narysował, jakbym się na rozbój wybierał, a ja jestem, panie-koch... człek spokojny i tylko na niedźwiedzie drapieżny.

Oglądanie machin, różnych wyrobów chińskich i europejskich z kości, zabrało tyle czasu znowu, że godzina obiadu, który jadano wcześniej, nadeszła. Książę-wojewoda tem bardziej rad był stół przyspieszyć, że na południe gotowało się polowanie pod Albą i pierwsza wycieczka do tej wioski książęcej, której on był wójtem, a rodzina i przyjaciele mieszkańcami.

Obiad dnia tego nie różnił się niczem od innych, oprócz potwornej wielkości szczupaka, nawpół pieczonego, wpół gotowanego, którego dwóch hajduków dźwigać musiało, a krajczy książęcy przy wspomnieniu przysłowia *lucium a cauda*, piękny kawał królowi prezentował.

Przy kawie, po zwykłych toastach, popisywała się muzyka, ale z twarzy gospodarza czytać się dawało, że pragnął co rychlej ztąd gościa wyciągnąć na Nowe-Miasto, gdzie w zaroślach pod Albą oczekiwały niedźwiedzie i wilki. W ostatniej jednak chwili książę rozporządził, aby dnia tego wilki tylko, których pół kopy czekało w klatkach, wypuszczone zostały. Niedźwiedzie zachowano na drugie łowy i konkluzją. *Tandem* później plan się jeszcze odmienił, bo wilcy nie dosyć się dziko i zuchwale bronili.

Komarzewski i Szydłowski, starosta Mielnicki (brat pani Grabowskiej), przy osobie króla pozostać mieli i strzelać też im pozwolono. Dla króla altana była przygotowaną, z podniesieniem, z której wygodnie mógł dawać ognia ze strzelb nabitych, jakie mu służba podsuwała...

Stanisław-August nie miał ani takiego upodobania, ani takiej wprawy, jak poprzednik jego August III, któremu żaden strzelec nie zrównał, lecz, pomimo to, wilcy się tak prezentowali grzecznie i podchodzili na strzał dogodnie, iż król, sam niewiedząc jak, ubił ich przeszło dwudziestu.

Zaręczyć jednak nie można, czy Szydłowski, stojący pod bokiem, nie poprawiał, a i Komarzewskiemu nieraz się z lufy kurzyło, choć się trafniemi strzałami nie chlubił.

Całe te łowy miały pozór jakiejś dziecinnej igraszki, która księcia nie bawiła i nie zaspokajała.

— Panic-kochanku, — zamruczał w końcu do łowczego, który stał przy nim; — te wilki twoje na suchoty były chore, czy co, panie-kochanku, ślamazarne bestye. Puścić mi matkę tego, cośmy go mieli na pojutrze chować, niechaj król choć jednego ubije.

Łowczy skoczył w gęstwinię, gdzie klatki stały i psy trzymano. "Wszystko dotąd szło po myśli, ale niedźwiedź od wilków się zaraził strachem. Otwarto mu klatkę, poczęto kijami szturchać, psy puszczone. Spiał się na tylne nogi, i w kąk wpakowawszy — ani chciał ruszyć... Radziwiłł, gdy się co nie stało wnet na rozkazanie, wybuchał zaraz gniewem, cóż dopiero, gdy mu tu jeden niedźwiedź przy

tylu świadkach wypowiedział posłuszeństwo.

Morawski, stojący z nim pod altaną, nie mógł wojewody strzymać i król ujrzał z trwogą gospodarza, krokami ogromnymi wprost biegnącego na niedźwiedzia. Jenerał mu towarzyszył, ale oba, bez strzelb, z kordelasami tylko... — Szydłowski, — zawołał król żywo — weź oszczepników kilku i śpieszcie za księciem, naraża się zuchwale. Bieź w pomoc... zmiłuj się...

Chwila była istotnie dramatyczna, bo z niedźwiedziem przez psy, które go szarpały, rozjuszonym, nie było co żartować. Radziwiłł biegł bez pamięci, obstając przy tem, aby mu niedźwiedzia wypędzono. Król musiał więc szepnąć Szydłowskiemu, ażeby oszczepnicy zabili nieposłuszną bestyą.

Stało się jak rozkazał, ale księciu to humor popsuło.

— Nie było satysfakcyi, panie-kochanku, bo nie było emocyi, co takie polowanie warte...

Lękając się, aby jeszcze jednego niedźwiedzia nie sprowadzono, król się ruszył nazad do Nieświeża, bo, choć byli tuż pod Albą, ale dzień eszce biały iluminacyi przygotowanej zapalać nie dopuszczał.

W pałacu, aby czemś czas zająć, pokazano królowi kunsztowną owę machinę, zbudowaną umyślnie dla obracania sztucznego słońca na teatrze. Książę nadszedłszy, gdy ją oglądano, dodał śpiesznie.

— Wszystko to, panie-kochanku, domowej roboty. U mnie tak: opera księcia Macieja, a śpiewacy i baletnicy Hryszki i Hapki i Naście, malarz, panie-kochanku, Estko, mechanik Litwin, wirtuozy chłopi... Na radziwiłłowskim gruncie co posiać, to się, panie-kochanku, musi urodzić...

O Albie król i korona cała wiedziała, że to była letnia rezydencya księcia, ale tak poprostu podobną do innych być nie mogła. Najprzód pokopano tu kanały i sadzawki, na których się miała kształcić marynarka polska, na wszelki wypadek, gdyby znowu kiedy brzegi morza odzyskała Rzeczpospolita. Potem w Albie nie było już ani księcia-wojewody, ani żadnych pań i panów, tylko wójt i wieśniacy; mężczyźni albo przywdziewali mundury przyjacielskie albeńczyków, lub przestrajali się pochłopsku, to jest jak teatralni chłopi, lub ci, których Boucher i Watteau malował.

Każdy z rodziny i przyjaciół księcia miał tu swoją chatę, ogródek i miniaturowe gospodarstwo. Panie hodowały gołębic i turkawki, panowie paśli czasem barany, mające wstążki na szyi. Grywano na flecikach i gitarach.

Jedną z głównych ozdób i charakterystyczną w Albie były kanały, które się we wszystkie strony od głównego centrum rozchodziły. Ponad niemi stały domki drewniane przeróżnych kształtów, chatki pod słomą, chińskie, japońskie, szwajcarskie, fantazyjne, których trudno było oznaczyć stylu. Ponieważ numerowanie tych dworków zbyt prozaicznieby wyglądało, zamiast liczb i napisów, nosiły one, starym obyczajem, znaki, po większej części zwierzęta. Był więc dom pod Słoniem, Wielbłądem, Orłem, Niedźwiedziem i t. p.

Wpośrodku, na okrągłym placu sam książę wojewoda postawił - altanę własnego pomysłu, która w jego przekonaniu, miała być podobną do kościoła św. Zofii w Konstantynopolu. Meczety, dosyć dziwaczne, Radziwiłł inwentował.

— Patrzajże, — mówił potem bratu — gdybym chciał, mógłbym wyśmienicie być architektem, i panie-kochanku, że moje pałace i dwory byłyby pokaźniejsze, niż te, które stawia małpy-architekci z profesyi — za to ręczę. Nie mają za grosz fantazyi, jeden drugiego okrada, i co u jednego z przodu, to u drugiego w tyle, na tem cała inwencya.

Gdy powozy, wiozące króla i gości do Alby się zbliżyły, gorzała już ona cała krociem świateł kolorowych. Droga z zamku przez przedmieście Nowe-Miasto do Alby, cała też była oświetlona stojącymi szeregiem gierydonami, w których lampy płonęły. Wszystkie domki, altana wielka, budowy inne, okryte były światłem, które, odbijając się w kanałach, stanowiło obraz bardzo piękny. Natłok powozów, konnych i pieszych ciekawych, stroje ich rozmaite, przygrywające muzyki, wesoło ubierały Albę nocną. Ci, co ją po dniu widywali — znajdowali cudownie zmienioną.

Fryczyński zaręczał generałowi Komarzewskiemu, iż lamp zapalonych było do ośmiukroćstotysięcy, a ludzi do oświetlenia prędkiego, ze wsi okolicznych, użyto kilka tysięcy.

W Albie, stosując się do intencji gospodarza, ton towarzystwa się zmienił; król, śmiejąc się zaręczał, że koronę zostawił w Nieświeżu, a tu chciał być tylko wójtem z sąsiedztwa. Panie postroiły się pastersko.

Stanisław August śmiał się głośno i radby był rubasznego nabrać obejścia, ale — ciężko mu to przychodziło.

Książę wojewoda wprowadził króla na wieżycę nad ową altaną ś. Zofii, i ztąd przypatrywał się Najjaśniejszy Pan fajerwerkowi... w trzech aktach.

Mistrz, który układał ten dramat ognisty, z cyframi, herbami, wieńcami i t. p., stopniował go tak umiejętnie, że zakończenie wybuch Wezuwiusza przypominać mogło.

— A i to, panie-kochanku, fajerwerkmaister domorosły, — mówił książę — u mnie wszystko swojskie.

W altanie na górze Najjaśniejszy Pan w gronie dam i panów dotrwał do końca, gdy tymczasem na dole, dokąd wojewoda umknął — zapij ano!

— Komarzesiu, — szepnął król generałowi — choćbym nic chciał, przez litość nad tobą, muszę się na dół spuścić, bo tobie w gardle zaschło, a tam szklami pobrzękują... i ja też muszę kielich spełnić za zdrowie radziwiłłowskiego domu.

Jakoż zszedł król na dół, do licznego i wesołego towarzystwa, szukając w głowie konceptu jakiegoś do toastu. Niestety, nie udało mu się wpaść na nic innego nad bardzo zużyte:

— Szczop łycha neznau dom Radziwiłłów!

W Albie zdało się królowi najwłaściwszem

odezwać się zchłopska.

\* \* \*

Gdy w Nieświeżu wszystko co żywe raduje się, wykrzykuje, zapija i zajada, coraz nowe podziwiając cuda, jeden Filipek, skazany na niewolę, przez okno próżno wyziera w podwórza, na których nawet mało kogo widać, bo cały ruch i życie są w położonych od czoła. Tedy ledwie się kuchta jaki osmolony prześliźnie, albo stróż kuchenny, który, chwyciwszy kawał mięsa ukradkiem, chce go spożyć, oczów się zdradzieckich nie lękając.

Zresztą, Rusin, po dwu dniach ubezpieczywszy się, że go hajducy mniemani nic zaprowadzili na wieżę, niezbyt się mógł na swój los uskarżać. Sądził, że o nim zapomniano, a cieszył się tem, iż panna Monika o żywieniu go pamiętała. Dawano mu bowiem regularnie śniadanie, obiad i wieczerzę, a gdy gąsiorek, z nudów prędko wysuszony, miał się skończyć, zjawiał się pełny jego następca i wino w nim cale było niezgorsze. Mnóstwo jednak niedogodności znosić musiał cierpliwie Filip. Dawano mu wprawdzie wody do umycia się, ale on nawykł był umywać się latem i zimą pod studnią; bielizny nie miał czem zmienić. Czysta i ładna izdebka panińska powoli zmieniła się nieznacznie w zaśmieconą i brudną. Przytem nie było do kogo przemówić słowa.

Owi hajducy, którzy mieli stać pode drzwiami" wcale mu się ani pokazywali, ani dawali słyszeć, a natomiast śmiechy kobiece, gżenia się dziewcząt dochodziły jego uszu i gorszyły go bo oczywistem było, że straż męska czas sobie skracała, sprowadzając dziewczęta do zabawy.

Panna Monika nie pokazywała mu się też, choć parę razy rękę jej widział i poznał ją, ostrożnie wsuwającą się przez drzwi uchylone.

Jak długo ta niewola trwać miała? Co potem nastąpić mogło? Kara? Wygnanie?

— Niechby już było co chciało, aby się tylko wyrwać z tej klatki! — mruczał Filip.

W sobotę, gdy cały Nieśwież wieczorem popłynął do Alby na nową iluminacją, w zamku się zrobiło cicho, jak w grobie. Biedny Filip chodził po izdebce, w której więcej nad pięć kroków tam i tyłuż nazad zrobić nie mógł, wzdychał i coraz do gąsiorka zaglądał. Była to jedyna jego pociecha. Gdy mu się koło serca robiło mdło, uciekał się do lekarstwa węgierskiego.

Wtem, wśród milczenia tego, silne odchrząkiwanie pod oknem usłyszał. Powtarzało się ono tak natarczywie, iż wkońcu otworzył okno i wyjrzał w głąb, ale wzrok nie dawał rozpoznać, kto stał w dole, z głową do góry podniesioną. Na wszelki wypadek Filip odchrząknął także. Wtem doleciało go z podwórka:

— Szerejko...

Filip się tak wychylił, iż o mało nie wypadł, ale z wysokiego pietra na bruk nie można się było ważyć.

— Na rany Chrystusowe, ratujcie mnie! — zawołał.

— Niema sposobu, — szepnął przyjaciel z dołu — jedyny był: królowi oznajmić, że was tu więżą, ale, gdy sio król w to wda, z Radziwiłłów musisz kwitować na zawsze. Zaś Najjaśniejszy Pan niewiele może dla ciebie zrobić zechce. Mów, co wolisz?

— Co ja wolę? Człowiecze! — krzyknął aż do zbytku głośno Filip — ja jednej tylko rzeczy pragnę, choćby bosy i bez koszuli, a na swobodę. Mam dosyć jeść i pić, ale gdy dłużej potrwa takie siedzenie, jak wieprza w karmniku, gotowem na bruk skoczyć, choćby łeb roztrzaskać!

— A pocóż łeb rozbijać? — odparł Szerejko. — Hm! W oknie krat niema; prześcieradło albo serweta się koło ciebie znajdzie. Co łatwiejszego, jak postronek skrócić i na dół się spuścić.

Śpiesznie dokończył te słowa Litwin i posłyszawszy kogoś nadchodzącego, pierzchnął. Filip napróżno sykał i wołał, Szerejki na dole już nie było. Zadumał się nad radą jaką mu dał przyjaciel i począł rozpatrywać, z czegoby mógł postronek ukrócić, gdy drzwi się otworzyły i postać kobieca pokazała się w progu. Domyślił się w niej panny Moniki i pośpieszył ku drzwiom. Wistocie ona to była.

— Dobrodziejko moja! — zawołał głosem stłumionym — przychodzisz mnie wybawić! Zlituj się, ja się tu uduszę! Wypuście mnie ztąd! Wypuście! Dłużej nie wytrzymam!...

— I myślisz się, za dobra radą przyjaciela, spuszczać z okna, — przerwała panna — żeby albo kark skrócić, albo się dostać w ręce hajduków, stojących na straży, którzy schwytanego zbiega pewno szczerdzić nie będą? Piękną radę dał wam Szerejko! Ja ledwo mogłam wyprosić, żeby wam tu, w mojej izbie, zostać dozwolono; tułam się, nie mając gdzie wygodnie odpocząć, a wy chcecie ztąd uciekać, aby wszystko popsuć i nowej biedy nawarzyć.

— Panno Moniko... Tupnęła nogą powołana.

— Nie pleć, — rzekła — nic ci się tu złego nie dzieje; głodu nie masz, pić też nie zbywa z czego. Siedziałbyś spokojnie. Uciekając, zagniewasz księcia i zgubisz się.

— Król mnie weźmie w opiekę! — zawołał Filip.

— Nie pleć! — powtórzyła panna. — Chcesz ginąć, to giń, swoim rozumem się kierując, ale w takim razie między nami rozbrat. Bywaj mi zdrów. Zobaczysz, co wskórasz. Filip stal zmieszany.

— Ale panno Moniko, — począł — ja się tu uduszę!

— Nie możesz jeszcze trzy dni wytrwać, — zawołała z wyrzutem — dla siebie i dla mnie?

— No, a potem? — zamruczał Filip.

— Ja na siebie biorę wszystko, — przerwała Monisia. — Książę przebaczy i nas wyposaży. Oświadczałeś mi się na klęczkach, przysięgałeś; ja was jak narzeczonego ratuję, a wy...

Filip pochwycił ją za rękę.

— Niech panna Monika rozkazuje, — rzekł udobruchany.

— Siedź cicho, póki ja nie przyjdę cię uwolnić, — zawołała szybko opiekunka. — Choćby Szerejko kusił cię, nie odpowiadaj. Ja wam zginąć nie dam.

Rusin chciał dalej żale rozwodzić, ale panna, ruszywszy ramionami, cofnęła się, pogroziła mu palcem i dodała, odchodząc:

— Pamiętaj, że jeżeli się ruszysz, a głupstwo zrobisz jakie, ja ratować nie będę i między nami kwita! Kwita!

Zniknęła. Filip, któremu spuszczenie się po sznurze i tak nie było do smaku, siadł zamyślony. Po chwili nalał sobie z gąsiora, ręką machnął i poszedł na łóżko.

— Dziej się wola Boża!

Ale Szerejko nie dawał za wygraną. Nie wiedział o tem, że go szpiegowała Monika i chciał koniecznie na swoim postawić, a z pomocą Belgrama, uwolnionego Filipa królowi doprowadzić.

Złośliwa szczypawka, byłby tym sposobem i księciu figła i królowi uczynił nieprzyjemność, coby go niezmiernie radowało. Z paziem króla, choć powinowatym i przyjacielem, był ostrożnym, przypuszczał bowiem, że Belgram musiał być do pana swego przywiązany. Tymczasem, gdy się otwarciej rozmówili, okazało się, że i Belgram i wielu ze służby, chociaż król poojcowski i nader łagodnie się z nią obchodził, obdarzał, nigdy złem słowem nie dotknął, niechętni byli swemu panu. Wszystko, co tylko mogli przeciwko niemu wynaleść, podnosili i rozplatali. Jest w naturze ludzkiej, że na łagodnych się rzuca. Oprócz kilku istotnych przyjaciół, jak Komarzewski, Naruszewicz i t. p., nawet we własnej rodzinie Poniatowski znajdował niechętnych i mało życzliwych. Prymas wyrzucał mu słabość i zmienność (w czem miał słuszność), pani Krakowska, której do zbytku ulegał, zazdrosną była i podejrzliwą, książę eks - podkomorzy narzekał na skąpstwo jego i t. p. Nikt go prawic nie bronił. Belgram też wysmiewał pana i krzywił się, mówiąc o nim.

— Obdziera go, kto chce — mruzczał, — a my, co mu służymy, czasem po pół roku. nędznego jurgieltu się doczekać nie możemy. U nas wiekuista golizna. Król ambasadorom robi prezenty na tysiące dukatów, a my talara wysłużonego nic możemy się doprosić.

Takimi zwierzeniami Szerejko ośmielony, wygadał się, *sub rosa*, Belgramowi z historią Filipa Poniatowskiego. Paż śmiał się i zacierał ręce, znajdując, że psikus wyrządzony królowi, byłby Aвыśmienity.

— No i wojewodaby był skonfudowany, — dodał Szerejko — i całe to przyjęcie nie miałyby waloru. Układał się figiel doskonale, — westchnął Litwin — a tu, licho nadało, zdradził się sam pewnie Poniatowski i wszystko przepadło, zamknęli go. Cała nadzieja moja, że umknie, a naówczas!

ty go królowi zaprezentujesz i zda się na jego opiekę. He!

Belgram pomyślał trochę.

— Dlaczego nie mam go prezentować? — rzekł. — I owszem, jam go nie szukał, ani skomponował, przyprowadzę go, ale...

— Co za ale? — zapytał Szerejko.

— Jeżeli sądzą, że król go w opiekę weźmie z narażeniem się księcia, — mówił Belgram — to się mylicie. Król, jakbym widział, da kilka dukatów i każe iść precz, słuchać nie zechce. A co mu tam taki Poniatowski, których na furię brać między drobną szlachtą?

Ostygł, posłyszawszy to, Szerejko, ale że mu więcej o figiel szło, niż o Poniatowskiego, ruszył ramionami i postanowił czekać, chociaż niewiele już czasu pozostawało do wyjazdu Najjaśniejszego Pana.

Następnego dnia przypadała niedziela, a wieczorem miał się odegrać ognisty ów dramat, inwencji gospodarza, Gibraltar, do której on, jako do najwspanialszej i niebywałej rzeczy, niezmierną przywiązywał wagę. Cały też dwór, wiedząc o tem, krzątał się około przygotowań z podwojoną gorliwością; ci, którym było to powierzonym i na ochotnika, kto tylko mógł, pomagali, wiedząc, że się tem księciu zasłużą.

Książe zajmował się swoją flotą pod Gibraltarem, jak dziecko lalkami, na seryo biorąc tę igraszkę, ciągle coś nowego wymyślając i dodając. Około trzydziestu statków, na których były moździerze i małe działa, rakiety i strzelba wszelka, gotowało się szturmować do Gibraltaru, który również zacięcie bronić się przysposabiał. Dowódcy milicyi, starszyzna, hajducy dworscy mieli powyznaczane sobie stanowiska na statkach i na skalistej twierdzy, która wistocie z płótna i desek się składała.

Statki wszystkie nosiły nazwiska najdziwaczniejsze, wypisane na nich głoskami ogromnemi. Oprócz tego miały godła rzeźbione i flagi, komponowane przez samego księcia.

Lecz zdobywanie twierdzy, dla większego efektu, dopiero późnym wieczorem rozpocząć się miało; ranek poświęcony był nabożeństwu. Król słuchał około ósmej już mszy świętej w kaplicy zamkowej, przy której słynny swojego czasu kaznodzieja, eks-misyonarz, dzisiejszy proboszcz sreński, miał wymowne kazanie.

Mowa z konieczności zastosowaną była do czasu. A że wszyscy podziwiali niezmierną rozrzutność, z jaką wojewoda sypał na to przyjęcie tysiącami, ks. Karpowicz przypomniał przy tej okazji historyczną odpowiedź Kazanowskiego królowi Władysławowi IV, wyrzucającemu zbytnią okazałość przyjacielowi: — Bez ciebie, królu, nie chcę być bogatym, a przy tobie ubogim być nie mogę.

Wszyscy znajdowali to trafnem, tylko książe wojewoda nosem kręcił:

— Ale co ten klecha myśli, że Radziwiłł przez takie bzdurstwo zubożeć może!

Szcześciem, Gibraltar dnia tego tak księcia zajmował, że urazy ks. Karpowiczowi zapomniał.

Ze mszy król powrócił odpocząć do swoich pokojów, a że wyraził życzenie widzenia Alby po dniu, bo ją tylko w świetle iluminacyi i fajerwerku oglądał, zaprzężone powozy i świta wojskowa króla czekały na rozkazy.

Książę wojewoda, jako wójt, ubrawszy się w strój zwykły albeński, oczekiwał już przy swoim pałacyku, gdzie króla przyjąwszy, oprowadzał go po pokoikach wykwintnie przyozdobionych, ogródkach, dzikiej promenadzie, altanach, ptaszarniach, a nawet budowlach gospodarskich.

Nie skończyły się oględziny na głównym dworze, bo tu każdy inaczej i oryginalnie był urządzony; zkolei więc oglądano domek jenerałowej Fergussonowej, księcia Macieja (autora opery); w proggu spotkał go ks. krajczy z chlebem i solą, a komplementem: — Chleb, który pożywamy pod twera panowaniem, słodki nam jest, Najjaśniejszy Panie!

W ogródku, pokoikach były różne osobliwości i fantazyje do obejrzenia.

Dalej, książę kasztelan trocki z córką w swojej chatce zaprosili na czekoladę, a że Komarzewski, śmiejąc się, mdłą ją znajdował, podano likwory i owoce na zakąskę.

Przy domku ks.-podkomorzego — dzika promenada, ładna, choć nie rozległa; we środku skała sztuczna, oblana wodą i dla ozdoby obwieszona sieciami, malowniczo wyglądały i na pochwały zasłużyły.

Lecz całego szeregu domków tych nie sposób było szczegółowo opatrywać; celniejsze więc tylko zwizytowawszy i od księcia - wojewody o ustawach tej osady wiadomości wysłuchawszy z zajęciem, król, z wielką pochwałą Alby i albeńczyków, zabrał się do powrotu.

Czas tak zszedł szybko, że na zamku już do stołu podawać miano, gdy powrócił. Wedle codziennego programu, obiad, toasty, kawa z koncertem następowały, ale książę z powodu Gibraltaru ciągle się absentował.

Zdawano mu raporty, posyłał rozkazy; niezmiernie -leżało na sercu wojewodzie, aby ten oryginalny wymysł jego, rzecz nowa, osobliwa, przez jaką niebaczość, na szwank nie był narażony.

Po obiedzie i kawie król zażądał oglądać kościół pojezuicki i grób księcia Radziwiłła - Sierotki, potem kościół benedyktynek i bogatą jego zakrystyą, oddając przytem wizytę ksieni, pannie Szaniawskiej.

Zabrało to tyle czasu, że gdy król od benedyktynek miał odjeżdżać, Gibraltar już zaczęto oświetlać; tysiące tych lamp bowiem, mimo spędzonych ludzi i garnizonu, nie dawały się prędko zapalić wszystkie.

Dziwacznie przedstawiała się twierdza, płonąca już rzęsistemi światłami liniami, i flota, która się gotowała bombardować ją, ale sam książę, rozogniony też, zdyszany, przejęty niesłychanie?



Ważnością tej igraszki, dla wielu ciekawszym był nad samo widowisko, którem kierował z brzegu.

Nie słyszał, nie widział już nic, nikogo, oczy mając wlepione w swój Gibraltar i flotę. Na statkach naturalnie i radziwiłłowska flaga powiewała z trąbami. Największy z nich zwał się "Nabuchodonozor". Innym niemniej bombastyczne ponadawał książe imiona: "Bazyliuszka", "Salamandry", "Tytana" i t. p.

Bądźcobądź, skała, zamek, baterye, flota, gdy wszystko to lampami i pochodniami, kagańcami, w żelaznych koszach pozapalanemi, oświetlone zostało, stanowiło obraz oryginalny i wielce fantastyczny. Ponad wieżycą twierdzy ogromna chorągiew wyobrażała smoka z paszczą płomienistą.

Estko szeptał pocichu:

— I tego bestya ja malować musiałem. Sam książe komenderował. Począł się tedy ogień ze statków na twierdzę i z twierdzy na okręty; huk, dym i blask straszliwy!

— A co? — szeptał wojewoda — potrącając łokciem stojącego przy sobie księcia Hieronima. Nie wspaniałe to? He? Ale ten bestya Radziszewski ślamazarnie chodzi około dział, słabo ognia dają. Dziś tu wszystkie szyby od huku powyłatywać powinny.

Królowi szczególnie się to podobało, że straszliwy łomot i krzyki majtków nie dopuszczały rozmowy. Rad był wypocząć i uśmiechał się.

Ze wszech miar widowisko można było uważać za nader udane i wspaniałe, chociaż autor sam dziełem może niezupełnie był zaspokojony, bo szyby pozostały całe.

Statków zato kilka, zapewne umyślnie porozbijanych dla lepszego złudzenia, pływały doporywające szczątki, a ludzi osmalonych i poparzonych dopiero nazajutrz obliczyć miano.

Około północy, król dał znak Komarzewskiemu, iż Gibraltar poddać się musiał, a na spoczynek czas było. Książe jednak pozostał jeszcze, dopóki ostatnia bomba z podartej na szmaty twierdzy nic wyleciała w powietrze.

— A co? — mruknął do Rzewuskiego — albo mi on w Łazienkach co podobnego potrafi wyprawić? He? Ja tu więcej prochu spaliłem, niż on przez całe życie swoje!

Na zamku upadek Gibraltaru oblano jeszcze starym węgrzynem.

\* \* \*

Poprzedzającego dnia zaproszony, wedle programu zawsze, do Zausza, rezydencyi siostry księcia, jenerałowej Morawskiej, pisarzowej litewskiej, król wyjechał z wojewodą ruskim i księciem-

podkomorzym.

Pani generałowa i mąż jej nie silili się w skromnem Zauszu współzawodniczyć z przepychem i majestatem księcia-wojewody, ale sama pani miała tu wiejski dwór i ogród szczególnie wedle smaku wieku urządzony.

Z opisu ówczesnych Powązek, z widoków, jakie nam Vogel pozostawił z Siedlec hetmanowej Ogińskiej, można powziąć niejaki wyobrażenie o staranności, z jaką się ogrody angielskie i dzikie promenady przy bogatszych dworach wystrajały. Były one w wielkiej modzie. Altany, posągi, napisy na kamieniach, ołtarze, chatki, ruiny sztuczne, połamane kolumny zdobiły je. Wysilano się na wymysły, a gdzie statui zabrakło, zdala choć malowane na deskach figury je zastępowały.

Z tych wielkich parków dzisiaj nie pozostało prawie nic; co moda stworzyła, zniszczyły wojny, a więcej jeszcze rozdrobienie majątków i zubożenie właścicieli.

Zausze Morawskich nie ustępowało co do ogrodu żadnej innej rezydencji pańskiej. Rzeczulka, przebiegająca niedaleko, zużytkowana z ręcznie, rozprowadzona kanałami, urozmaicała widoki. Altany i domki, których pozór bardzo skromny stanowił kontrast umyślny z nader wytwornem wnętrzem, gęsto były też rozrzucone w cieniu drzew starych.

Korzystali sąsiedzi Morawskich, państwo Łopotowie (oboźni litewscy), aby króla na ojca chrzestnego córeczki zaprosić. Matką chrzestną i kumą była gospodyni.

Książę - wojewoda, nieodstępujący króla, znajdował się tu także. Podani) śniadanie i w parę godzin zazdrosny książę przypominał, że obiad czeka w Nieświeżu. Przed zamkiem wysiadł Najjaśniejszy Pan około wału Rawelinów dla oglądania starych dzieł, które pięknym odlewem za artystyczny wyrób uchodzić mogły.

Obiad tem się tylko odróżniał od poprzedzających, że wstawszy dla wypicia zdrowia Najjaśniejszego Pana, książę-wojewoda oświadczył, "iż dla pomnożenia w domu swoim powszechnego wesela i wiekopomnej pamiątki, wszystkich więźniów, poddanych swoich, za jakiegokolwiek przewinienia w więzieniu osadzonych, nawet kryminalistów, uwolnić kazał".

Aplauz powszechny. Król wstał, dziękując.

— Najjaśniejszy Panie, — dodał wojewoda — samych kryminalistów jest trzydziestu, a co do innych — liku nie wiem, Panie... Najjaśniejszy... kochanku...

Język mu się trochę splątał.

Kawie przygrywał koncert, a króla zabawiały panie; śmiał się i prawił im komplementy, lecz, zdaleka patrząc na niego, łatwo było poznać, że okrutnie już był zamęczony. Pozostawały jeszcze dwa dni tych zabaw męczeńskich, które przetrwać musiał z tym samym uśmiechem, jaki tu przywiózł. Konceptu już księciu-wojewodzie braknąć zaczynało; zresztą, po Gibraltarze, który miał za największy wysiłek, nie czuł się już obowiązany zmagać na rzeczy nadzwyczajne.

Po kawie litościwy Komarzewski, przez miłosierdzie, przyszedł półgłosem oznajmić, że

ekspedycya kresów oczekiwała. Mógł więc wstać i wymknąć się do swoich pokojów. Zaledwie się drzwi zamknęły, gdy, odwróciwszy się do generała, z westchnieniem odezwał się:

— Komarzesiu! Mów, co mnie jeszcze czeka? Zapomniałem...

— Kilkadziesiąt niedźwiedzi, *pour la bonne bouche* — rzekł, śmiejąc się Komarzewski. — O ile wiem i przewidzieć można, bestye są okrutne i polowanie będzie dramatyczne.

Rozśmiał się król smutnie.

— *A la guerre comme à la guerre*, — odparł — wierz mi, że mniej czasem straszne są niedźwiedzie od głupich ludzi.

— Niezawodnie, — szepnął generał — niedźwiedziowi oszczepem i kordelasem zawsze wkońcu radę dać można, a z ludźmi...

Nie upłynęły dwie godziny, gdy już konie i powozy dla przewiezienia myśliwych w ganku stały.

Pod oknami Filipa chrząkał śmiało Szerejko.

Rusin słyszał to, a wyglądać nie śmiał, ale natarczywość Litwina nareszcie go do okna ściągnęła. Otworzył je i wyjrzał.

— A co?

— Książę tylko co przy stole oświadczył, że wszystkich więźniów, nawet kryminalistów uwalnia, czegoż ty siedzisz! Wal i łomocz do drzwi, muszą cię wypuścić.

To mówiąc znikł. W chwilę potem, gdy Filip się namyślał jeszcze, zuchwały Szerejko wpadł na górę. Ale tu panna Monika czuwała.

— Coto? Panna nie wie, że książę ogłosił, iż wszystkich aresztantów kazał wypuścić, a Filip dotąd siedzi! — zawołał podchodząc.

Panna się w boki wzięła, stojąc naprzeciw zapaśnika.

— Ano? Siedzi! — odparła — i co?

— Należy go wypuścić!

— Zkąd? Z mojej izby, do której się sam wniósł i w niej zachorował. Przecież nigdy więziony nie był;

Szerejko osłupiał. — Panna sobie żartuje ze mnie?

— Może, — odpowiedziała Monika — boś się nie powinien wdawać w to, co do ciebie nie należy. Kłaniam uniżenie.

I drzwi przed nim zamknęła. W ciągu całych przygotowań do przyjęcia i w czasie pobytu króla, wszyscy to po księciu uważali, że niesłychanie był rozgorączkowany. A że pragnienie go paliło ze znużenia, wina dużo pił i nie wychodził z tego stanu podrażnienia.

Komenderując flotą pod Gibraltarem, chwilami się unosił; teraz sama myśl polowania na niedźwiedzie, które dobrane były umyślnie tak, aby nie na żarty się z nimi potykać było potrzeba, tak znowu animowała go, że łowczy i towarzyszący mu dwór i krewni, nie mogli go uspokoić. Kazał sobie kordelas wyostrzyć, pistolety w olstry powkładać, konia do polowania ułożonego osiodłać i drżał z niecierpliwości.

Komarzewski, Szydłowski, Judycki, strażnik polny litewski, którym na sercu leżało, ażeby jeżeli nie król, to dwór jego popisał się z odwagą, wybierali się też, uzbroiwszy w oszczepy, dokazywać, aby Radziwiłłowi okazać, że nie on jeden miał odwagę.

Starosta Mielnicki, który z dowcipem i ogładą wielką łączył nieustraszone męstwo i zimną krew, zdającą się naigrawać ze wszelkiego niebezpieczeństwa, uśmiechał się zawczasu.

— Ja już się z niedźwiedziami próbowałem, — mówił zimno do Komarzewskiego — ociężałe są bestye, dzik daleko od nich straszniejszy. Pierwszy, co się zbliży, wezwę go do tańca! Będzie mi skakał.

Komarzewski marszczył się.

— Poco to wymyślać rozrywki, połączone z niebezpieczeństwem! — mruczał.

— *Pardon*, najsmaczniejsze są właśnie, — rzekł Szydłowski — to pieprzyk, co im dodaje *du piquant*.

I śmiał się.

Polowanie odbywać się miało w polu pod miastem, w miejscu odkrytem, ostawionem sieciami i tłumami ludu. Niedźwiedzie w klatkach na los swój oczekiwały.

Dla króla wystawioną była altana kobiercami wysłana, pod baldachimem z koroną, na której miejsce zajęli towarzyszący mu: książę kasztelan Trocki, podkanclerzy litewski i generał Komarzewski, Sapieha, generał artylerji którego także tu zaproszono, wymówił się i razem z Szydłowskim i Judyckim stanął z kordelasem i oszczepem pod altaną. W bliskości jej druga, znacznie większa dla dam i osób dostojniejszych, przepełnioną już była.

Sam książę wojewoda ani sobie dał wyperswadować, aby poszedł do altany. Siedział na koniu i jak łowczy zwijał się, dokazując na placu z generałem Morawskim.

— A to, panie-kochanku, pięknieby było, abym ja z założonemi rękami sobie patrzył. We mnie krew kipi!

Poczęło się od niedźwiedzia najogromniejszego, który już w klatce okazywał humor taki, iż zapowiadał wściekłe zwierzę. Podrażniony niewolą i widokiem psów, spinał się na łapy i mruczał

dziko. Dokoła klatki niecierpliwe psy ujadły.

Wtem pachołkowie otworzyli ją i kołami zaczęli miszkę zmuszać do wyjścia na plac. Ale ten z fortocy swej wychodzić ani myślał; psy tylko, które poskoczyły aż do niej, łapami chwycił i szarpał. Oczy mu krwią zaszyły, pienieł i łamał, a darł, co popadło.

Klatka też zaczynała się rozluzowywać. Książę z Morawskim oba tuż stali, a wojewoda krzyczał wniebogłoso:

— Wyprzeć go w pole, dawaj go sam tu!

Najśmielsi z łowczych z kordelasami, z oszczepami, najtęższe psy obsiadły czarnego starego zbója, który się rozpaczliwie bronił, darł i kaleczył.

Księżcia ledwie można było utrzymać. Padały psy, koni kilka skaleczył niedźwiedź, ludziom się też pono dostało, gdy wreszcie oszalałe zwierzę rzuciło się na plac, wiodąc za sobą całą zgraję kundłów, ale zamiast ku altanie, na którą gnać usiłowano, puścił się niedźwiedź, odcinając, nadzwyczaj szybko w pole. Tu, gdy mu się tłum ustąpił ze strachu, sieci powaliwszy, ruszył naoślep dalej.

Książę zawrócił także, za księciem jenerał, wszyscy łowcy, dojeżdżacze, myśliwstwo całe. Widok był straszny i zabawny, bo stara bestya zdawała się sobie żartować z pogoni.

Jeźdźcy, psy i wszystko znikło wdali z oczów patrzącym, ale, po upływie dobrego kwadransa trąbki się słyszeć dały, na zziąjanym koniu pokazał się najprzód książę, potem jenerał, a wkońcu łowczych kilku, ciągnących ogromną bestya, okrwawioną, oszczepami ubitą, do stóp Najjaśniejszego Pana.

Oklaski rozległy się z trybuny.

Szydłowski jedno oko przymrużył.

— *Ma foi*, — rzekł do Sapiehy — książę-wojewoda wielki łowiec przed panem. Ale i nam się popisać trzeba.

Z następcami tego wodza niedźwiedzi, sprawa była nierównie łatwiejszą. Napędzono ich trzy pod altanę; król strzelił, utrzymywano, że... ranił je, a psy dokonały. Pokolei otwierano klatki, skazane biedaki wychodziły jak oszołomione, król mierzył, strzelał i niedźwiedź w zębach ogromnych psów niedługo się męczył. Szydłowski się kręcił niecierpliwie.

— A żeby też jeden rozum miał — mruczał. Wtem, jakby na zawołanie, mknął bury,

chudy niedźwiadek bardzo raźnie i chybiony przez króla, ku lasowi umykać zaczął. Szydłowskiego nic już nie mogło powstrzymać, puścił się zabiegając mu i oszczepem drogę. Napróżno krzyczano, odwołując go; nie myślał słuchać.

Niedaleko od altany odbiegłszy, niedźwiedź spiął się na łapy i stanął, gotując paść na starostę,

gdy ten dzielnym uderzeniem oszczepu tak go dosięgł silnie, iż się zachwiał, ale wnet siły zebrawszy, już miał runąć na Szydłowskiego, któremu by swym obyczajem czaszkę z głowy złupił, gdyby Judycki nie podbiegł w sukurs. Biegł też i Sapieha, lecz się przypóźnił.

W chwili, gdy niedźwiedź się miał rzucić, Judycki z jednej strony, Szydłowski z drugiej przebili go oszczepami; bestya padła, posoką zlewając ziemię.

Krótką tą walką z taką zimną krwią i męstwem była dokonana, że nawet księcia zdumiała.

— A! To zuch, panie-kochanku! — zamruczał i przyjechał winszować. — Fraszka to, mości książe, — zaśmiał się starosta — niedźwiedź był tak grzeczny, jak wszyscy w Nieświeżu.

I tak się dnia tego o zmroku polowanie skończyło.

Późno w noc, książe, zdyszany i zmęczony, już się poczynał rozbierać do łóżka, gdy nagle, coś sobie przypomniawszy, w czoło się uderzył.

— Panie kochanku, a tom się poszkapił!

I krzyknął na Pawluczka — pokojowca.

— Pawluk, wołaj do mnie Monikę, choćby z łóżka wstać miała.

Rzewuski, który tylko co był odszedł, zawrócił z pytaniem:

— Cóż tam tak pilnego?

— To do ciebie nie należy — rzekł książe. — Tylko ci powiem, że omaloby słowa dartego nie złamał, panie-kochanku. A toby dopiero było!...

Książe nie dokończył. Rzewuski, znając dziwactwa wojewody, odszedł. Tymczasem książe, narzuciwszy na siebie rodzaj płaszcza jedwabnego, który mu służył za szlafrok, chodził boso po sypialni, mrużąc:

— Słowo radziwiłowskie... słowo się rzekło... słowa dotrzymać muszę!.. Ale co z nim zrobić? Ponieważ panna Monika wistocie już była, jak Pawluk się wyrażał, "do rosołu" (rozebrana), książe musiał czekać na nią aż do zniecierpliwienia.

— Cóż ona, u kaduka, fryzuje się do mnie, czy co, panie-kochanku? — mrużąc.

Po oczekiwaniu, które się dłuższem wydawało księciu, niż wistocie było, Monisia, nietylko nie ufrizowana, ale chustką okryta od stóp do głowy, nadbiegła.

— Cóż ty z więźniem swoim zrobiła? — zapytał wojewoda.

Ruszyła ramionami dziewczyna.

— Siedzi, mości książę! — odparła.

— Ależ, do stu tysięcy... zajęcy, panie-kochanku — zaczął książę — ja słowo dałem, że wszystkich aresztantów uwalniam, a słowo rzecz święta!

— Ja o niczem nie wiem — mruknęła Monika, której pilnowanego przez tyle dni narzeczonego nie chciało się puścić na swobodę, aby nie zemknął.

— Siedzi! — powtórzył książę zamyślony. — No i ja wyszedłem, panie-kochanku, na łgarza!

— Przecież on w więzieniu nie siedzi, — odezwała się z sofizmatem Monika — aresztantem nie był, tylko ja go u mnie, w mojej izbie, przytrzymałam.

— E! Ty, filutko jakaś! — rozśmiał się wojewoda. — Jakto wy, niewiasty, zaraz kręcić umiecie! Tymczasem potrzeba go puścić. Słowo radziwiłłowskie jest, panie-kochanku, taka święta rzecz, że gdy się rzekło, bodaj wszystko przepadło, a trzymać trzeba... nic nie pomoże! Puścić go, puścić!

Monika milczała nadąsana. Spojrzała zpod zasępionych brwi na księcia.

— To dopiero plotek się narodzi! — poczęła. Wojewoda stał i palce grube okręcał, za pas założywszy ręce.

— Książę go kazałeś puścić, — dodała — no, a jak ja nie posłucham, nie będzie to wina księcia, ale moja.

Uśmiechał się wojewoda i pogroził, ale nie powiedział nic. Przeszedł się po sypialni, sapnął ciężko parę razy i, zobaczywszy stojącą w progu Monikę, zamruczał:

— Idźże spać... z babami, panie-kochanku, nie dojdiesz do ładu.

Dziewczkę znikło, a książę w tejże chwili na głos pacierz rozpoczął; ale Bogu wiadomo jak on szedł, bo modlitwę psy i niedźwiedzie na kawały rozrywały. Przygoda nieszczęśliwego Filipa coraz się komplikowała.

Szerejko, widząc, że go nie wypuszczono, obawiając się, aby mu jego figiel i zabiegi w łeb nie wzięty, zniecierpliwiony, zły, ważył się na czyn zuchwały.

Wieczorem wyszukał sobie Belgrama.

— Słuchaj, bracie, — rzekł — tobie się nic nie stanie, a ja tego despotyzmu znieść nie mogę. Potrzeba nieszczęśliwego Poniatowskiego uwolnić i zapobiec, aby go książę nie karał za to, iż się tak, jak król nazywa. Proszę ja ciebie, — tu go. uściskał — idź do generała Komarzewskiego i zwierz mu się z tym Poniatowskim.

— Chcesz tego?

— Choćbym nie chciał, tom zmuszony, — odparł Litwin - - bom go namówił i podbudził. Dotąd wszystko idzie jak z płatka; niechże choć mała finfa się im pod nos zakurzy.

Belgram stał jeszcze.

— Idź, — poparł. Szerejko — niema co tracić czasu, jutro bodaj ostatni dzień.

Belgramowi nie było wcale przykrem podjąć się denuncyacyi — poszedł.

Król siedział jeszcze w szlafroku, otoczony poufałymi swymi. Szydłowski, Komarzewski, Byszewski, ks. Gawroński, pocichu, śmiejąc się, opowiadali rozmaite dnia przygody, gdy Belgram ukazał się we drzwiach i dał znak Komarzewskiemu.

Wyprowadziwszy go do przedpokoju, w niewielu słowach paż opowiedział mu o Poniatowskim. Jenerał się zmarszczył i skrzywił, zmierzył oczyma Belgrama, jakby mówił: "Bodaj cię z twojem doniesieniem!", kiwnął głową i odprawił go, wracając do sypialni.

Sam nie wiedział, co miał zrobić z tem doniesieniem. Król powielokroć mu powtarzał i zaklinał, aby nic przed nim nie taił. I teraz już, zaniepokojony wyjściem, ścigał go oczyma. Komarzewski dał znak, iż ma coś do powiedzenia. Natychmiast król wstał i podstąpił na bok ku niemu.

— Nieprzyjemna dosyć wiadomostka, którą my możemy ignorować, ale ja ją Najjaśniejszemu Panu przynieść jestem zmuszony. W krótkich słowach, ot co jest.

I opowiedział, co mu Belgram doniósł.

Pomimo całej mocy, jaką miał nad sobą, król zmieszał się i pobladł; nie odpowiadając nic, zadumał się. Widać było, że go rzecz ta mocno i nieprzyjemnie ubodła. Komarzewski postrzegł, że król, jak był zwykły, gdy go co dotknęło, poprawiał włosy na głowie machinalnie. Był to ruch może w potomku bezwąsych przodków wąsatych, który atawizm przekazał, a obyczaj przeniósł na perukę.

— Tak, ignorować możemy, — potwierdził król, — ale, mój Komarzesiu, jeszczeby podobno mądrzej było nie przywiązywać do tego wagi, nie wstydzić się ubogiego homonyma i przygarnąć go.

Komarzewski milczał, nie śmiejąc z radą występować. Król stał chwilę.

— Dziękuję ci, — rzekł — dobrze, żeś mi powiedział o tem; resztę mnie zostaw i mutus!

Palec położył na ustach.

Spóźnioną godzinę wybijał zegar i królewscy towarzysze rozchodzić się zaczęli, tak, że Najjaśniejszy Pan sam wkrótce pozostał z Komarzewskim. Westchnął.

— Jutro jeszcze w towarzystwie niedźwiedzi i wilków spędzić mamy, — szepnął — pojutrze, da Bóg, wracamy do ludzi.

Nazajutrz, wtorek, dzień był ostatni, ale książę spocząć nie dał gościowi; a że sam łowy i



myśliwstwo lubił nadewszystko i cały dwór swój łowczy na stopie wielkiej miał urządzony, nim więc postanowił spokojnego króla zabawiać, który dnia tego, znużony już, wstał, skarżąc się na ból głowy. — Na to niema, panie-kochanku, jak świeże powietrze, — rzekł gospodarz. — Pojedziemy do Alby, do zwierzyńca, niech sobie król popuka. Zdaje mi się, że przez całe życie tyle, co u mnie, nie nabił zwierzyny.

O siódmej już rano, król naznaczoną wczoraj na te godzinę dał audyencyą przy kawie Sapieżu, generałowi artylerji, który wesołością swą i dowcipem go trochę rozerwał. O dziewiątej stały już powozy do Alby.

Zwierzyńiec albeński tak był wyposażony, szczególnie w łosie i dziki, że mógł na najliczniejszą kompanią strzelców wystarczyć. Dzików liczono kilkaset, łosiów ze sto, a sarny i zajęce nie dawały się obrachować.

Podróż niedługą do Alby urozmaicało towarzystwo amazońskie, gdyż pani Przeździecka, starościna mińska, i Narbuttowa, chorążyna lidzka, przybyły konno, na żwawych wierzchowcach, i po obu stronach landary otwartej eskortowały króla. Obie zręczne i wdzięczne, uśmiechami i dowcipem skróciły jeszcze przejażdżkę do Alby.

Osobną altanę, jak zwykle, wystawiono dla króla, a drugą prawie same damy zapełniły. Polowanie zresztą nie miało dramatyczności wczorajszego; zwierz był przelękły i spłoszony. Król strzelał kilkanaście razy i powiadano, że zabił około dziesiątka łosiów i mało co mniej odyńców i warchlaków. Sławiono zaś nadewszystko jeden strzał przypadkowy królewski do zajęcia kulą. Wszystkie wszakże owe zabójstwa dla wielu wątpliwemi były, gdyż... strzelcy niezręcznie pomagali. Tak sobie szeptało.

Nim pora obiadowa nadeszła, wyprosił się król i Komarzewskiego posłał do księcia z przeproszeniem, że dla pilnych listów, obiad jeść będzie u siebie. Wistocie, strudzony łowami, do których nie był nawykły, zakłopotany rozdaniem oznak wdzięczności, nie miał już siły zabawiania wojewodziny smoleńskiej i księcia; drobnostka wreszcie, ów biedny Poniatowski, zostawała też do przełknięcia.

Na poobiedni zaś czas książę zachował prezentowanie ubitej zwierzyny, psów swoich, łowczych i myśliwstwa, i pojedynki dzikich zwierząt w manège, który Szydłowski niegrzecznie nazywał "heca". Nie trzeba o tem zapominać, że, choć okrutnie umęczony, musiał Najjaśniejszy Pan grać do końca rolę niezmiernie uszczęśliwionego, a wychwalać wszystko, bo przyjęcie było i pańskie i serdeczne.

Podczas obiadu książę wojewoda z kielichem wiwatowym wprosił się do króla.

— Książę wojewodo, — odezwał się król ścisłszy go, — choćbym się silił na jak najwymowniejsze wyrazy wdzięczności, nie zrównają one nigdy uczuciu, jakie gościnność wasza, prawdziwie królewska, na mnie wywarła. Chciejcie wierzyć, że w sercu zachowam do zgonu pamięć chwil tu spędzonych tak przyjemnie. Zamawiam też sobie, abyś książę mnie uważał za przyjaciela i uczynił mi tę przyjemność, byś wprost się zgłaszał z tem, co dla siebie lub swoich mieć zechce. Popierajcie mnie na Litwie, ja wam też służyć będę i spełnię, co zażądacie, ile sił i mocy starczy.

Uściskał go raz jeszcze.

— A! A! Wtrącił, jakby przypominając coś sobie, jedno małe pytanie, mości książe. Prawda-li to, że na dworze swym macie oficjalistę, nazwiskiem Poniatowskiego? Tych Poniatowskich w Kijowskiem jest siła. Nie wiem spełna, czy do moich należą lub nie, ale zawsze im opiekę winienem.

Książę słuchając zarumienił się jak burak, aż do siności, i począł coś bełkotać niewyraźnie.

— Jeżeli ów Poniatowski wart tego, chętniebym losem się jego zajął, — dodał król — choć nie zgłosił się do mnie. Dowiedziałem się o nim przypadkiem.

— Najjaśniejszy Panie, — wtrącił Radziwiłł — ja też o nim pamiętam, u mnie kawałek chleba mić będzie. Proszę się nie frasować.

To mówiąc, skłonił się żywo i rozmowy, do której nie był przygotowany, przedłużyć nie chcąc, umknął.

Król też odetchnął swobodniej.

Wojewoda za progiem musiał pot, który mu na czoło wystąpił, otrzeć.

— A to mnie, panie-kochanku, zażył z mańki! — zamruczał. — Patrzcie, że mu o tem doniesiono. Ma ten drażał szczęście.

Powrócił książę do stołu, nie okazując po sobie, że czuł się pokonanym zimną krwią, z jaką król mówił o Poniatowskich.

— Byłoby się obeszło pięciu chatami w Stawkach, — pomyślał — a teraz będę musiał dać wioszczybę dożywociem.

Po obiedzie, gdy się z podwórca dały słyszeć trąbki, grające "pogrzebowego"; król z Komarzewskim pośpieszył do pokojów wojewody, przed którego oknami stały umajone wozy, z pięknie, jak do malowania, poukładaną zwierzyną; a podwórzec cały pełen zielonych kurtek łowczych, strażników, strzelców i na sforach trzymany psów, nad które Litwa i Korona lepszych - i piękniejszych nie miała.

Było wistocie patrzeć na co, bo, począwszy od ogromnych brytanów na grubego zwierza, gończych, chartów, wyżłów, aż do taksów, wszystkie gatunki psów były tu wspaniale reprezentowane. Niechybnieby też przy tej okazji faworyta księcia Nepta miała honor przedstawiać się królowi, ale właśnie przed dwoma dniami zostawszy matką pięciorga kundelków, nie wstawiała od nich i wywołać się nie dawała od obowiązków macierzyńskich.

Nie darowano królowi hecy, na którą musiał iść do maneżu i zasiąść w altanie.

Ogromny łoś stary wypuszczonym był najprzód, a potem na niego dwa rozdrażnione niedźwiedzie.

Zdawało się, że tak strasznych wrogów aż dwu na jednego łośia, nie mającego nic nad rogi i

kopyta, mogły go pokonać łatwo; tymczasem okazało się, że mężny ów olbrzym puszczy litewskich, rogami niedźwiedzie pokaleczył, i ani oni jemu, ani on im nic zrobić nie mógł. Bitwa dosyć monotonna do nocyby się przeciągnęła, gdyby Najjaśniejszy Pan, któremu się w hecy przykrzyło, nie wniósł, iż gotów strzelać do niedźwiedzi.

Łoś tedy wyszedł cało z życiem, a przeciwnicy jego, przeszyci kulami, padli ostatnią ofiarą królewskich zabaw w Nieświeżu. Przy pochodniach jeszcze, na drugim podwórzu oglądano konie jezdne księcia, około których przechodząc wojewoda, trochę złośliwie wskazując na jednego zamruczał, że to jest właśnie ten, na którym Najjaśniejszy Pan nie raczył wjeżdżać do Nieświeża.

Król zagryzł usta. W teatrze mu za to odśpiewano hymn pożegnalny.

Nazajutrz rano, wedle słów króla, pocichu szepniętych Komarzewskiemu, nastąpił *le quart d'heure de Rabelais*. Trzeba było za tę gościnę zapłacić, nie tylko wdzięcznymi słowami, ale, co daleko trudniejszym było dla ubogiego króla, podarkami.

Cóż można było ofiarować księciu do jego skarbcza? Tabakierę złotą, z wizerunkiem króla, brylantami otoczonym. Podobną otrzymał książę podkomorzy. Zegarki, pierścienie z portretami, kolczyki, naszyjniki, rozdzielono między panie, a dla służby Komarzewski zostawił kilkaset dukatów do podziału.

Pożegnawszy wojewodzinę smoleńską, gdy gospodarz aż do Mira postanowił przeprowadzać Najjaśniejszego Pana, ostateczne dzięki odłożono do Mira, gdzie przyjmowali Sołtanowie.

Na twarzach obu głównych bohaterów, króla i księcia-wojewody, widać było prawdziwą radość, mogli spocząć.

Komarzewski mówił później, że nigdy króla, od bardzo dawna, tak wesołym i swobodnym nie widział, jak na noclegu w Szczorsach u Chreptowicza.

— Przepłynęliśmy więc szczęśliwie, nawet kanonadę Gibraltaru! — mówił śmiejąc się Stanisław August — a jeżeli poczciwy panie-kochanku nic kontent ze mnie, com mu strzelał, ile razy kazał i pił zdrowia, jak nigdy, to już chyba nic w świecie go nie zaspokoi.

Książę, wracając z Mira, gdzie dużo pił, bo mu chorąży Sołtan dolewał nieustannie, zasnął siadając do landary i nie zbudził się, aż gdy go hajducy pod ręce wynieśli z powozu do łóżka.

Nazajutrz wstał rzeźwy, chwając się, że lekkim się czuje, jak piórko. Z kolei potem zagadywał wszystkich:

— A co! Panie-kochanku? Poradziwiłłowski było! Hę! Król na konia nie siadł — spytał się raz, potem kiepsko strzela; prawdę powiedziawszy, taki z niego strzelec, jak ze mnie kapucyn; naostatek ubogiego Poniatowskiego powąchał. Jam temu nie winien. Najlepiej na tem wistocie wyszedł prostoduszny Filipek; dostała mu się wielce rezolutna żona, wioska dożywociem, a później od króla ogon jakiegoś starostwa, który dał tytuł razem i do chleba trochę masła.

Szerejko, przyjaciel domu, przypominał mu zawsze, aż do naprzykrzenia, że wszystko to jemu był

winien.

W Nieświeżu tablicy marmurowej nie położono, został długo sufit Estki w wielkiej sali, a książę dopóki żył, zwykł był pokazywać niektóre miejsca pamiętne:

— To jest, panie - kochanku, miejsce, gdzie król na konia siąść nie zyczył sobie; tutaj, panie - kochanku, chybił o pięć kroków do niedźwiedzia.

KONIEC.